



Rep. s. 10, 14, 22

Rok XI

Nr 9 (99)

Wrzesień 1997

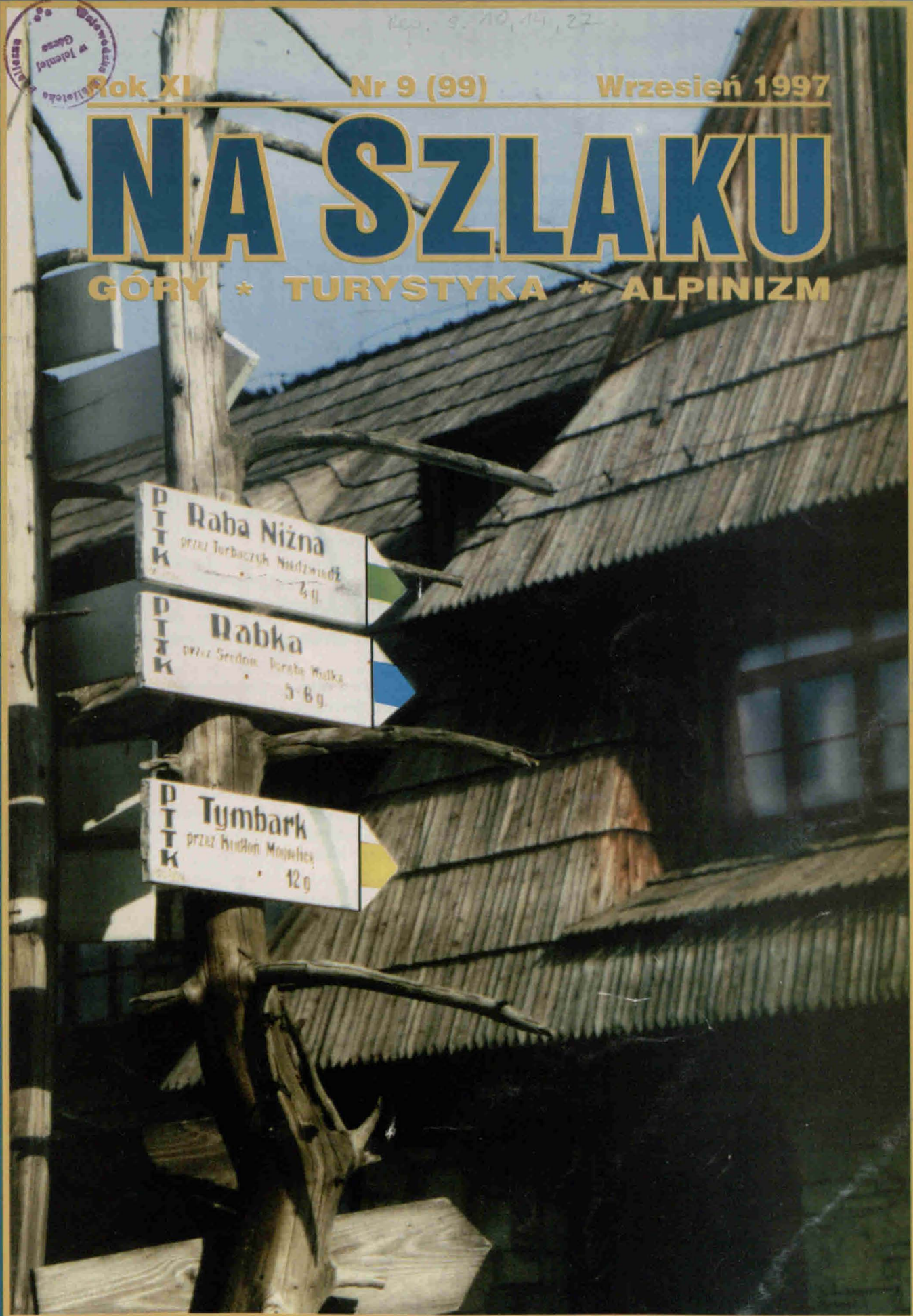
NA SZLAKU

GÓRY * TURYSTYKA * ALPINIZM

**D
T
T
K**
Raba Niżna
 przez Turbaczek, Nieszewice
 4 g.

**D
T
T
K**
Rabka
 przez Sędzisz, Turbacz, Wąska
 5-8 g.

**D
T
T
K**
Tymbark
 przez Kuchnia, Mowolice
 12 g.



Na szlaku

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy
poświęcony górcom.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego

Wydano przy pomocy Urzędu Kultury
Fizycznej i Turystyki

Zespół redakcyjny:

Piotr Dacko (red. techniczno-graficzny),
Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny),
Andrzej Matuszczyk (Kraków),
Stanisław Nosol (sekretarz red.),
Ryszard Szlagor (korekta).

Sekretariat i administracja:

tel. (0-71) 34-386-69

Stale współpracują:

Jacek Kolbuszewski, Tomasz Kowalik
(Warszawa), Józef Nyka (Warszawa),
Przemysław Pilich (Warszawa),
Ryszard M. Remiszewski (Gliwice),
Juliusz Wyslouch (Toruń).

Adres Redakcji:

Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław,
tel. (0-71) 34-386-69, fax 34-367-46

Wydaje:



ISSN 1230-9931

Cena: 2,30 zł

Redakcja zastrzega sobie
prawo adyustacji tekstów.
Materiałów nie zamówionych
Redakcja nie zwraca.

Druk: Can-Pol Wrocław

Numer archiwalne do nabycia w Redakcji.

Przedruki tylko za podaniem źródła.
Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty na 1997 r.
do uzyskania w Redakcji.

Prenumeratę przyjmuje:

Oddział Wrocławski PTTK,
Oficyna Wydawnicza „Sudety”,
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław,
Wielkopolski Bank Kredytowy S.A.
O/Wrocław nr: 10901522-510600-128-00-0,
z zaznaczeniem: „Na szlaku”.

Ogłoszenia:

Szczegółowe warunki do negocjacji.

„Na szlaku” dostępne jest w większych
oddziałach PTTK i niektórych
specjalistycznych sklepach i księgarniach
górkich na terenie kraju.

Wszystkich chętnych i zainteresowanych
kolportażem prosimy o kontakt z Redakcją
(minimalna ilość wynosi 10 egz.).

Na okładce: Na Turbaczu w Gorcach
Foto: Piotr Dacko

Listy, opinie, polemiki...

Szanowna Redakcjo!

Chciałbym podzielić się w tym
krótkim liście opisem przygody, jaka
spotkała mnie w schronisku PTTK „Orli-
ca” w Szczawnicy. Otóż w dniu 4 lipca br.
w piątek, w towarzystwie rodziny i znajomych
(w sumie 5 osób), postanowiłem
zjeść obiad w schronisku. Zbliżała się
godzina piętnasta, obszerne menu zachęcało,
z kuchni dochodziły smakowite zapachy,
a jadalnia była pusta. Niestety, ku
mojemu zdumieniu panią z okienka
kuchennego oświadczyła, że „obiadów nie
wydają, bo mają grupę” (dosłownie).
Ponieważ żadne perswazyje nie pomogły i
pani była nieugięta, postanowiłem
dokonać odpowiedniego wpisu do książki
schroniska. Tutaj kolejne zaskoczenie,
gdyż okazało się, że schronisko takiej
księgi nie posiada (przynajmniej tak mnie
poinformowano). Nie mogąc porozumieć
się z panią, poprosiłem ją o bezpośred-

ni kontakt z przełożonymi, bądź kierow-
nikiem obiektu. Także w tym miejscu po-
niosłem porażkę, ponieważ tak się zło-
żyło, że „wszyscy wyjechali”. Jak nie-
pyszni wynieśliśmy się szukać czegoś do
jedzenia w budkach w pobliżu przystani
flisackiej. Przypadkiem jedną z towarzy-
szących mi osób był londyńczyk zwi-
dzający po raz pierwszy nasz piękny kraj,
który nie mógł zupełnie zrozumieć zaist-
niałej sytuacji. Podobna przygoda spot-
kała mnie w tymże schronisku w 1986
roku, ale wtedy były inne czasy. Byłbym
wdzięczny za opublikowanie tego listu na
łamach Waszego pisma, gdyż liczę na
jakieś wyjaśnienie ze strony kierownictwa
„Orlicy”.

Z poważaniem
Andrzej T. Gierczycki
przodownik TG leg. nr 6037

Redakcja miesięcznika „Na szlaku”

Gospodarz schroniska PTTK „Rysianka” w nawiązaniu do artykułu w „Na
szlaku” (nr 6/97).

Każdy turysta ma prawo mieć
swoje zdanie i swoje odczucia dotyczące
usług w schronisku. Jednak drukowanie
tych odczuć jest swoistą antyreklamą,
często mijającą się z prawdą.

A więc: zależy nam na turystach
bez względu, czy noszą plecak czy nie, a
schronisko prowadzimy z żoną od 1980
roku, z zamiłowaniem, bo z „kasą” bywało
różnie. „Rysianka” posiada 70 miejsc
noclegowych, więc miejsc i dla grup
szkolnych jest sporo (także grupę 10-oso-
bową prowadził cytowany przewodnik).
W schronisku nie posiadamy kuchni tu-
rystycznej, a jeżeli jest taka potrzeba,
gotujemy własne turystów produkty w ich

naczyniach – jak to miało miejsce w
przypadku wymienionej grupy.

Nie jest również tajemnicą, że ja-
dłospis oferuje (ceny aktualne): schabo-
wego z dodatkami za 10 zł, jadło drwała
8 zł, ale bigos czy fasolka kosztuje 4,50
zł, zupa pomidorowa, ogórkowa 2,50 zł,
a wrzątek jest bezpłatny. Chciałbym rów-
nież dodać, że duża rzesza turystów z
własnej woli trafia do nas wielokrotnie.

Prosimy o wydrukowanie naszych
refleksji i jednocześnie zapraszamy do
odwiedzenia schroniska na Rysiance.

Z turystycznym pozdrowieniem
Włodzimierz Fiut

GLOBETROTTERS SHOP – Sklep górski 90-423 Łódź, ul. Piotrkowska 79, tel. 0-42 330744

organizuje:

Otwarty Konkurs Fotograficzny
„Człowiek, natura, przyroda”.

Nagrody: weekend w Amsterdamie *
Zimowisko w Sudetach * Aparat fotograficzny i
inne.

Regulamin Konkursu:

1. Technika prac dowolna.
2. Obowiązujący format zdjęć: czarno-
białe, tylko 18x24 cm, barwne, tylko 15x21 cm.
3. Fotografie nie mogą być podklejone ani
oprawione.

4. Na odwrocie każdej pracy należy umie-
ścić jej tytuł oraz godło (pseudonim) autora. Tym
samym godłem (pseudonimem) należy oznaczyć
dołączoną do pracy kopertę, która powinna zawie-
rać dane o autorze, tj. imię, nazwisko i adres.

5. Składanie prac do dnia 25.10.1997 r.
w siedzibie organizatora.

6. Konkurs przebiega w dwóch etapach:
jury wybiera najlepsze prace, które następnie od
02.11.1997 r. będą eksponowane w Górkim PUB-
ie K-2.

7. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi
w dniu 25.11.1997 r. o godz. 19 w PUB-ie K-2.

Czy przewodnicy turystyki górskiej będą jeszcze potrzebni?

Wielokrotnie – również w „Na szlaku” – zwracano już uwagę na ograniczenia nałożone przez „Ustawę z dnia 16 października 1991 r. o ochronie przyrody” na uprawianie turystyki na terenach parków narodowych. Jedną z konsekwencji, wprowadzonego przez tę Ustawę przejścia obsługi ruchu turystycznego na obszarze parków narodowych przez dyrektorów tych parków, jest wprowadzanie „zasad udostępniania parków do zwiedzania”. Zasad te m.in. ograniczają często prawo przewodników turystyki górskiej do prowadzenia wycieczek na terenie górskich parków narodowych. Okazuje się, że te powszechnie już chyba znane działania to dopiero początek rugowania przewodników t.g. z gór. W Dz.U. nr 17 z dn. 7.06.1997 r. ukazało się „Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 6 maja 1997 r. w sprawie określenia warunków bezpieczeństwa osób przebywających w górach, pływających, kąpiących się i uprawiających sporty wodne”. Zajrzyjmy do tych postanowień Rozporządzenia, które dotyczą turystyki górskiej. Szczegółowe zasady organizowania wycieczek w górach zawiera załącznik nr 3 do tego Rozporządzenia, gdzie w §3.1 czytamy: „Wycieczki piesze lub narciarskie na terenach górskich, leżących na obszarach parków narodowych i rezerwatów przyrody oraz leżących powyżej 1000 m n.p.m., mogą prowadzić tylko górscy przewodnicy turystyczni”. Koniec! Dla twórców tych przepisów przewodnicy turystyki górskiej nie istnieją (lub muszą zejść poniżej 1000 m).

Cytowane wyżej Rozporządzenie jest bardzo obszerne i obejmuje wiele zagadnień, co wynika już z jego tytułu. Omówienie całości zajęłoby zbyt dużo miejsca, warto jednak przy okazji zwrócić uwagę na swego rodzaju „figlarstwo” stylu stosowanego przez jego autorów.

Przykład 1: „§2.1. Rozporządzenie dotyczy terenów położonych na wysokości powyżej 600 m nad poziomem morza (n.p.m.), których rzeźba terenu stwarza zagrożenie dla zdrowia i życia osób na nich przebywających lub których zagospodarowanie rekreacyjno-sportowe kwalifikuje do uprawiania turystyki, rekreacji ruchowej i sportu w górach.

2. Rozporządzenie dotyczy również terenów leżących poniżej 600 m n.p.m., których rzeźba stwarza zagrożenie...” – itd., dokładnie jak w punkcie poprzednim. Po co zatem ta granica 600 m n.p.m., która poza tym paragrafem więcej nie występuje?

Przykład 2 z załącznika nr 1: „§5. (...) Do przebiegu narciarskich, ich oznakowania oraz warunków bezpieczeństwa na narciarskich stosuje się zasady określone w §4 dla popularnych tras narciarskich, z wyjątkiem wymagań dotyczących szerokości”. Ciekawostka tu jest taka, że nigdzie nie wspomniano ani o szerokości popularnej trasy zjazdowej, ani o szerokości narciarskiej (określono jedynie minimalną szerokość trasy, jeśli ma być przy niej eksploatowane „urządzenie transportu górskiego”).

Takich przykładów można znaleźć więcej. Świadczy to o tym, że ważną dla turystów dziedzinę życia reguluje kolejny bubeł prawny.

Na oddzielne omówienie zasługuje załącznik precyzujący zasady oznakowania szlaków i tras górskich. Zostawiam ten kasek specjalistom od prac znalarskich w górach.

A teraz „rugów przewodnickich” ciąg dalszy, tym razem z projektu „Ustawy o usługach turystycznych”. Wprawdzie obecny parlament prawdopodobnie nie zdąży tej Ustawy uchwalić, ale – jak pisał niedawno Marek Staffa w „Gazecie Górskiej” (nr 1/17) – projekt ten ma nadal swoich zwolenników, a więc może wrócić po wyborach. Co w tym projekcie jest o przewodnikach turystyki? Dokładnie nie!!!

Projekt przewiduje wprowadzenie koncepcji dla organizatorów usług turystycznych (z wyjątkiem działalności nie mającej na celu zysku) oraz wprowadzenie uprawnień dla wszystkich przewodników i pilotów wycieczek. Uprawnienia przewodnickie mogłyby nadawać tylko wojewodowie. Każda wycieczka, w której uczestniczy co najmniej dziesięć osób realizujących wspólny program, musiałaby mieć przewodnika, nawet jeśli byłaby to impreza niezarobkowa. Posiadanie odpowiednich uprawnień byłoby kontrolowane przez różnego rodzaju strażników (miejskich, granicznych, leśnych) i inne uprawnione osoby. Za wykonywanie zadań przewodnika bez tych uprawnień przewidziano karę ograniczenia wolności lub grzywny.

Gdyby zatem tak zaprojektowana Usta-

wa zaczęła obowiązywać, to wyszkoleni i mianowani przez PTTK przewodnicy turystyki (nie tylko górskiej) musieliby ograniczyć się do propagowania turystyki i krajoznawstwa oraz do potwierdzania punktów w książeczkach odznak turystycznych. Czy o to chodzi? Kto chce do tego doprowadzić?

Na zakończenie jeszcze jedna ciekawostka. Omówione wyżej i obowiązujące Rozporządzenie Rady Ministrów nakazuje m.in., aby wszystkie imprezy turystyczne organizowane na terenach objętych działalnością GOPR lub TOPR zgłaszać do GOPR lub TOPR, które muszą odpowiednio te imprezy „zabezpieczać”. Natomiast w projekcie Ustawy o usługach turystycznych zawarte są m.in. następujące definicje:

* impreza turystyczna – co najmniej dwie usługi turystyczne tworzące jednolity program, jeżeli usługi te opłacone są w sposób zryczałtowany (objęte wspólną ceną) lub obejmują nocleg, lub trwają ponad 24 godziny;

* usługi turystyczne – usługi przewodnickie, usługi hotelarskie oraz wszelkie usługi świadczone turystom.

Czy to znaczy, że każdy uprawniony przez wojewodę przewodnik prowadzący dziesięć osób w górach musi być dodatkowo „zabezpieczany” przez GOPR-owca? Dokąd to wszystko zmierza?

Jerzy Świąg

GÓRY PO POWODZI

Lipcowa powódź przyniosła ogromne straty w różnych częściach Śląska, szczególnie we Wrocławiu i Opolu. Nie wolne od nich są góry, głównie Sudety, choć nie brakuje ich i w Beskidach. Na szczęście, schroniskom i miejscowościom turystycznym nic większego się nie stało, można do nich przyjeżdżać. Ale w wielu miejscach stan szlaków stał się katastrofalny i wymaga ogromnych nakładów na remonty. Być może lepiej będzie chyba niekiedy przełożyć ich przebieg. Służby leśne i znakarzy czeka wielka praca. O jej rozmiarze świadczy zdjęcie nadesłane nam przez Józefa Czernickiego, prezesa Oddziału PTTK w Międzygórzu. Przedstawia ono fragment szlaku czerwonego z Międzygórza na Igliczną.

Redakcja



Na czerwonym szlaku z Międzygórza na Igliczną w Sudetach Wschodnich. Foto: Józef Czernicki

NARCIARSTWO WYSOKOGÓRSKIE W CZARNOHORZE

Z zainteresowaniem przeczytałem art. o narciarstwie wysokogórskim w Czarnohorze, chociaż trudno mi jakoś zakwalifikować memoriał – zawody do narciarstwa wysokogórskiego, ponieważ jako turysta-narciarz starszego już pokolenia trochę inaczej przyjmuję i wyobrażam sobie sens i ideę narciarstwa wysokogórskiego (patrz narciarski rajd tatrzański czy też popularne swego czasu kursy narciarstwa wysokogórskiego w Dolinie Pięciu Stawów Polskich).

Ale nie w tym rzecz. Osobiście rażą mnie w zakresie nazewnictwa takie określenia w artykule, jak np. „Kozmieszczok” ni to po ukraińsku i nie po polsku – a przecież to pocziwy, znany wszak „Kozmieszczuk”, czy też wymieniona w artykule „Pażyżewska” – to przecież „Pożyżewska” i takie poprawne nazwy są używane powszechnie w literaturze górskiej. A może to drobne przeoczenie Szan. Redakcji przy sprawdzaniu – adiustowaniu tekstu?

Jestem uczulony na takie może w ogólnym mniemaniu drobne potknięcia

tekstowe, ponieważ na bliskim mi terenie cieszyńskiego „Zaolzia” (ogólna nazwa rdzennie kiedyś polskiego regionu na zachód od rzeki Olzy, anektowanego zbrojnie w 1919 r. przez Czechów) występuje nazewnictwo prawie wyłącznie polskie, czechizowane zdecydowanie szczególnie po II wojnie światowej.

Dlatego też używanie w tym przypadku przez polskich autorów (nieświadomych być może polskich korzeni tego regionu) nazw czeskich, jak np. „Bohumín” zamiast „Bogumin” czy „Orlova” zamiast „Orłowa” i setki innych daje Czechom atut, „a przecież polscy autorzy używają nazw wyłącznie czeskich, więc skąd mowa o polskim rodowodzie tych ziem – rdzennie czeskich” (!).

Dla spraw porządkowych trzeba przyjąć jakieś pośrednie rozwiązanie, toteż np. w ostatnim wydaniu przewodnika „Pasma Czantorii i Stożka” (autor M. Barański – 1996), opisującego szlaki po obu stronach granicy polskiej i czeskiej, przyjęto podwójne nazewnictwo, szczególnie

w słowniczku krajoznawczym dot. czeskiej części opisywanego pasma, tzn. polskie jako podstawowe ogólnie znane i używane przez miejscową ludność i urzędowe aktualne czeskie nazewnictwo.

Czy to słuszne? A może znawcy tematu, czy też „Złotousty” prof. Miodek wypowiedzą się na ten temat. A jest to temat trudny – zależy poniekąd od regionu. Ponieważ nie można do jednego worka wrzucić rejonu np. sudeckiego i zaolziańskiego – tego drugiego zamieszkanego przez rdzennie niegdyś polską większość – czechizowanego w bezwzględny sposób w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej.

Przecież w nazewnictwie nie mówimy Wien, Paris czy Roma lecz Wiedeń, Paryż i Rzym, mimo że nigdy polskie nie były.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Redakcji.

Z poważaniem

Alojzy Szupina

DZIECI POWODZIAN W TYROLU

Dwadzieścioro polskich dzieci z zalanych wodą terenów województwa wrocławskiego spędziło w Sölden w dniach od 16 do 22 sierpnia tydzień wakacji. Pobyt urozmaicony był wieloma sportowymi atrakcjami i wycieczkami. Pod mottem: „Szybka pomoc podwójną pomocą”, 20 różnych instytucji, hoteli, restauracji itp. zgłosiło swoją gotowość pomocy dzieciom i przygotowało wakacyjny program dla dzieci w wieku od 8 do 14 lat. Dzieci z regionów dotkniętych klęską powodzi powinny odpocząć w tyrolskich górach i przynajmniej na tydzień czasu zapomnieć o sytuacji panującej w ich rodzinnych miastach. Wytrzymałości i kondycji dzieciom nie brakowało. Tak więc były organizowane wędrowki z oficerami ochrony środowiska z Ötztal Arena na wybranych z 300 km oznakowanych trasach wędrowki, zorganizowane były także zabawy na śniegu, na lodowcu Ötztal dzieci jeździły na nartach, big foot i snowboardzie, wycieczka do stolicy landu Innsbrucka oraz program w nowym Fun-Parku w Sölden. Pełen emocji był dzień, kiedy dzieci odwiedziły „świat przygód” z jazdą na kucykach, przejażdżką ciuchcią i grillem przy ognisku w „indiańskiej wiosce”. Pożegnanie było świętowane na wysokości 2848 m w schronisku „Wrocław”

z agentem Christianem Scheiber. Prezydent Wrocławia odwiedził już w ubiegłym roku schronisko o tej samej nazwie co miasto Wrocław. Schronisko to leży powyżej miejscowości Vent. Poprzez spotkanie z burmistrzem mag. Schöpf z Sölden doszło do tej spontanicznej po-

mocy dzieciom. Prezentem pożegnalnym była ogromna ilość darów rzeczowych dla potrzebujących rodzin w Polsce. Dary te będą rozdzielane przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej we Wrocławiu.

Tourismusverband Ötztal Arena
A-6450 Sölden



Dzieci mały także okazję przeżyć „święto śniegu” w środku lata. Z Lodowca Ötztal z wys. 3000 m został zwieziony prawdziwy śnieg. Dzieci wybrólowały jazdy na nartach, snowboardzie i big foot. Foto: Lorenzi

„ORAWA” DOJRZALSZA, UZUPEŁNIONA

Po czterech latach od ukazania się po raz pierwszy, Andrzej Matuszczyk wznowił swój przewodnik po Orawie. Książkę wydano nakładem Towarzystwa Przyjaciół Orawy, głównie dzięki inicjatywie Władysława Pilarczyka, prezesa Towarzystwa, a o jej staranne i szybkie opublikowanie postarało się Wydawnictwo i Drukarnia „Secesja” w Krakowie.

Główna część uzupełnień i uszczegółowień dotyczy w książce rozdziału historycznego oraz zagadnień krajoznawczych. Wielce ciekawe dzieje Orawy to wyjątkowo złożony problem, przy poruszaniu którego łatwo jest narażać się na zastrzeżenia, głównie ze strony specjalistów od historii.

Przy wznowieniu pozycji autor miał o tyle znacznie lepszą niż na początku lat dziewięćdziesiątych sytuację, iż głównie za sprawą oraz dzięki dużej aktywności popularyzatorskiej i wydawniczej Towarzystwa Przyjaciół Orawy został otwarty całkiem nowy rozdział bibliografii orawskiej.

Są tereny w polskich górach, gdzie sieć szlaków turystycznych opiera się jakoś dosyć szczęśliwie częstym zmianom. Należy do nich właśnie Orawa i Pasma Podhalańskie.

Orawa poprzez rozmaite lokalne inicjatywy coraz bardziej zbliża swoją współczesność do spraw o zasięgu ogólnopolskim. Na stronie tytułowej książki czytelnik ogląda „Górską Przystań” w Lipnicy Wielkiej Przywarówce. Początki tego obiektu to lata trzydzieste. W

okresie 1939-1945 pełnił rolę schroniska turystycznego, potem od 1945 do 1963 r. mieściła się w nim Strażnica Wojsk Ochrony Pogranicza. W kwietniu 1993 r. księżna Yorku Sarah Ferguson zakłada fundację „Dzieci w kryzysie”, która wzięła na siebie zadanie poprowadzenia ośrodka dla dzieci chorych, zwłaszcza na białaczkę. Schronisko na tego rodzaju ośrodek zaproponował wójt Lipnicy Wielkiej, Franciszek Adamczyk. Oficjalnie otwarcie ośrodka miało miejsce w czerwcu 1995 r. Rocznie przybywa tu na leczeniu około 700 dzieci, głównie ze Śląska, a obiekt nazwano „Górską Przystań” w Przywarówce.

Jest więc „Górska Przystań” nie tylko symbolem nowoczesności dzisiejszej Orawy, ale i jej szlachetnego postępowania w dziele ratowania chorych dzieci.

Rewers okładki książki Andrzeja Matuszczyka przedstawia oryginalny, z początku naszego stulecia, stan schroniska szczytowego na babiogórskim Diablaku. Obiekt ten od 1936 r. pod nazwą „Leśnik” służył jako polskie schronisko turystyczne, a w 1949 r. spłonął. W 1980 r. ruiny, trwały pamiątkę (i to wraz z fundamentami), nie wiadomo po co rozebrano na polecenie Babiogórskiego Parku Narodowego.

Teraz ambicją Gminy w Lipnicy Wielkiej jest ponowna budowa tego schroniska oraz połączenie Babiej Góry szlakiem turystycznym z brzegami Jeziora Orawskiego.

aMk

KONKURS FOTOGRAFICZNY „GÓRY W OBIEKTYWIE”

Komisja Turystyki Górskiej PTTK Oddziału „Beskid” w Nowym Sączu ogłasza konkurs fotograficzny adresowany do wszystkich turystów – miłośników gór.

Każdy, kto przemierza górskie ścieżki z aparatem fotograficznym, ma okazję zaprezentować zatrzymane w kadrze, uchwycone i podpatrzone w górach motywy.

Przedstawione do konkursu prace mogą stanowić zarówno odrębne tematycznie pojedyncze fotografie, jak i też serie zdjęć. Minimalny format przyjmowanych zdjęć 10x15 cm.

Każde zdjęcie należy opatrzyć go-dłem, a do zdjęć dołączyć zamkniętą kopertę tak samo oznaczoną, zawierającą nazwisko, imię i adres autora. Termin nadsyłania prac na adres Oddziału PTTK „Beskid”, Nowy Sącz, Rynek 9 – upływa 31 października 1997 r. Autorzy najbardziej oryginalnych, najciekawszych prac otrzymają atrakcyjne nagrody pieniężne.

Nagrodzone i wyróżnione fotografie zostaną zaprezentowane na okolicznościowej wystawie fotograficznej i zaprezentowane na łamach „Na szlaku”.

Jury zatrzeźbia sobie prawo zatrzymania najciekawszych prac w archiwum Oddziału PTTK.

OPISANIE MIĘDZYGÓRZA

Jako druga z serii miejscowości i ich okolic (pierwszy był „Karpacz” w wersji niemieckiej) ukazała się niezbyt gruba, ale w ładnej okładce, pozycja o jednej z najpopularniejszych sudeckich miejscowości – o Międzygórzu. Jej autorem jest wytrawny krajoznawca, posiadający najwięksi dorobek w polskiej literaturze turystyczno-krajoznawczej o Sudetach, którego Czytelnikom nie trzeba przedstawiać. Jest to, jak na razie, najobszerniejsza pozycja o tej części Ziemi Kłodzkiej. Najpełniej też przedstawia dzieje Śnieżnika i wieży na nim, ilustrowane kilkoma jej rycinami. Ponadto autor opisał Igliczną z kościołem Marii Śnieżnej i niestworzone pomijany przez większość turystów wspaniały kościół w pobliskiej Nowej Wsi, a także Ogród Bajek. Do wymienionych miejsc prowadzą zwinne, ale wystarczające opisy tras wycieczkowych. W związku z otwarciem przejścia turystycznego na szczycie Śnieżnika, Mazurski przedstawił już bardzo skrótowo propozycję wycieczek w najbliższym zapleczu po czeskiej, a właściwie morawskiej stronie.

Niestety, tragiczna powódź z początku lipca br. nieco zdezaktualizowała przewodniczek. Oto rozszalała Wilczka zdemolowała wręcz słynny wodospad, który składa się teraz z dwóch kaskad. Rozmyła drogę prowadzącą w stronę Śnieżnika, zniszczyła parking i ulice. Miejmy nadzieję, że Międzygórzu szybko się z tym upora, choć skala szkód w całej gminie Bystrzyca Kłodzka jest ogromna – niemal zagładzie uległ pobliski Wilkanów. Każdy z nas może pomóc w odbudowie, przyjeżdżając tu i... zostawiając nieco grosza w sklepach i na noclegach! Mimo że można w Międzygórzu czy na Śnieżniku przebywać już bez trudności, to wystraszeni wczasowicze, turyści i inni przyjezdni nie kwapią się do spędzenia czasu w tym zakątku. A szkoda, bo nadal jest w nim bardzo pięknie.

H.K.

Krzysztof R. Mazurski: *Międzygórzu i okolice*. Wrocław, OW „Sudety” 1997, ss. 49.

V Rajd Jesienny

**Studenckie Koło Przewodników Sudeckich
we Wrocławiu zaprasza na rajd w
KARKONOSZE
18-19.10.97 r.**

**noclegi w Schronisku PTTK „Odrodzenie”
informacja i zapisy od 1.10.97 r.
w Oddziale Wrocławskim PTTK
Rynek-Ratusz 11/12
tel. 34-303-44, 34-367-46**

W tym czasie znany działacz turystyczny i narciarski Zygmunt Klemensiewicz, jeden z tworców Karpackiego Towarzystwa Narciarzy we Lwowie, tak przedstawił sytuację: *...podstawą dla przemysłu turystycznego [w Karpatach] stać się nie może turystująca młodzież, zmuszona do przestawiania na małym, lecz publiczność*

Polskich, resortu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Państwowej Rady Ochrony Przyrody, organizacji myśliwych, automobilistów i narciarzy, a także prasy i związków wyznaniowych, zastanawiali się, jak zagospodarować Karpaty Wschodnie. Treść opracowań i referatów obracała się wokół ochrony przyrody, turystyki górskiej, rozwijania uzdrowisk,

W 1934 r. w Jaremczu po raz kolejny, ale m.in. z inicjatywy Orłowicza, uchwalono apel do Ministerstwa Komunikacji, aby poważnie potraktowano wnioski z poprzednich zjazdów i wreszcie zaczęto te Karpaty... zagospodarowywać. Tego samego domagano się w odniesieniu do Podhala i Zakopanego.

Wynika z tego, że lata kryzysu

Pomysł stale aktualny

SZEŚĆDZIESIĄT LAT PROJEKTU REZERWATU TURYSTYCZNEGO (2)

dojrzała, szukająca wygód i posiadająca środki na ich opłacenie. Taką publiczność trzeba u nas wychować od małego, tymczasem obecnie [tj. w 1931 r. – przyp. TK] nie widać starań w tym kierunku. Nie dość propaguje się turystykę wśród młodzieży – wycieczki szkolne są rzadkie i źle prowadzone, zniechęcają raczej do uprawiania turystyki.

Właściwie nic nie warto dodawać, bo po upływie 65 lat sytuacja jest niemal bliźniaczo podobna. Wtedy jednak PTT nie przejmowało się zupełnie młodzieżą szkolną czy też akademicką. W 1931 r. powstał jako ewenement Oddział Akademicki PTT w Krakowie, który skupiał się na naukowych problemach turystyki i zagospodarowania Beskidów Małego, Wyspowego i Sądeckiego. Co prawda, już w 1923 r. reformujące się po okresie stagnacji i sporów działaczy PTT dopuszczano powstawanie kół i oddziałów akademickich, ale o szkolnych nie było nawet mowy. Powstawać zaczęły dopiero w 1936 r., zainteresowano się też wtedy szkoleniem nauczycieli-przodowników. Podpisano nawet umowę ze Związkiem Harcerstwa Polskiego (czego owocem było m.in. schronisko harcerskie w Karpatach Wschodnich) o współpracy w edukacji turystycznej.

W takiej sytuacji władze państwowe i Ministerstwo oraz Międzyministerialna Komisja dla Zbadania Zagadnień Turystyki (pracowała pod przewodnictwem wiceministra Skarbu Stefana Starczyńskiego, późniejszego prezydenta Warszawy, naciskały na PTT i Związek Polskich Towarzystw Turystycznych, w którym PTT odgrywało wiodącą rolę, aby kolejna ankieta w sprawie ochrony turystyki w Karpatach Wschodnich skupiła najbardziej odpowiedzialne instytucje i opracowała koncepcję ich zagospodarowania.

W maju 1931 r. w Stanisławowie przedstawiciele PTT, Związku Uzdrawisk

komunikacji, zagadnień regionalnych Huculszczyzny, gospodarki leśnej, łośnictwa i wielu innych. Walery Goetel przedstawił problemy ochrony przyrody i jej powiązania z turystyką. Szymon Wierdak z PROP omawiał sprawę Czarnohorskiego Parku Narodowego i ochronę lasów, ciętych bez opamiętania od wielu lat (łącznie z kosodrzewiną przerabianą na olejki aromatyczne do wyrobu kosmetyków!).

We wnioskach z tego zjazdu znalazła się obok ochrony przyrody sprawa rezerwatu turystycznego. Za wzór podawano metropolię kościoła grekokatolickiego, który polecił w lasach na Jajku Perehińskim chronić w specjalnym rezerwacie drzewostan limbowy. Przypomniano też, że tworzenie rezerwatów miała w planie już w 1910 r. jeszcze c.k. austriacka administracja lasów karpackich. W 1914 r. tereny przyszłych rezerwatów były inwentaryzowane przez lwowskich naukowców z uniwersytetu, Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, Szkoły Lasowej i Towarzystwa Leśnego. Robili to tej klasy specjaliści, co Stanisław Sokołowski, Władysław Szafer, Stanisław Kulczyński, Aleksander Kozikowski i Tadeusz Wilczyński. Obok takich sensownych działań, były całkiem kretyńskie – oto na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1929 r. w pawilonie turystycznym pojawił się pawilon wystawowy zbudowany z karpackiego drewna limbowego, którym szczyliło się jedno z przedsięwzięć.

Nie dość na tym. Kolejne zjazdy w sprawie zagospodarowania Karpat Wschodnich odbywały się rok w rok. W Warszawie w 1933 r. obradowano z udziałem już nie tylko PTT, ale lobbystów z takich dziedzin, jak budownictwo drogowe, handel, kolejnictwo, automobilizm, biura podróży, uzdrowiska, czyli tzw. przemysłu turystycznego. Dziś to się nazywa promocja i produkcja produktu turystycznego...

gospodarczego (1929-1932) odcisnęły się na turystyce i uniemożliwiły zagospodarowanie Karpat Wschodnich, jak i wielu innych regionów. Postanowiono więcej uwagi poświęcić Tatrom, czego wynikiem była budowa kolejki linowej na Kasprowy Wierch, ukończona w 1936 r. Zjazd w Jaremczu w 1934 r. domagał się m.in. zniżek w taryfach kolejowych, organizowania pociągów świątecznych, dwukrotnego korygowania w ciągu roku rozkładów jazdy pociągów, budowania nowych linii w Karpatach, a także na trasie Zakopane – Witów – Chochołów (á propos – trzy lata temu, tj. w 1994 r., zlikwidowano linię kolejową do Czarnego Dunajca), dopuszczania turystów – uwaga!!! – do użytkowanych kolejek leśnych. Samochodiarze tamtego czasu domagali się oczywiście gładkich dróg prowadzących prosto w góry! Pomysły takie krążyły całe lata i tylko kryzys uratował góry przed wyasfaltowaniem i betonowaniem ich przez międzywojennych organizatorów przemysłu turystycznego. Co się odwlecze – powiedzmy sobie dziś – to nie uciecze.

W 1934 r. zapadła decyzja o podziale terenów wschodnio- i zachodnio-beskidzkiej gospodarki turystycznej, aby nie wchodzić sobie w paradę. Ustalono, że schroniska będą miały kategorie: duże (70-120 miejsc), średnie (35-50), schroniska małe, koleby, tylko w górach; domy turystyczne w dolinach. W 1934 r. opracowano jednolity system znakowania szlaków, planowano rozbudowanie schronisk w Dolinie Pięciu Stawów, na Hali Gąsienicowej, na Hali Pysznej, a schronisko narciarskie przenieść z Kalatówek na Kondratową, bo trzeba było zrobić miejsce na „prawdziwy hotel górski”, oraz zakończyć budowę schroniska na Chochołowskiej. Planowano m.in. budowę schronisk na Jaworzynie, Turbaczu, Policy, a w Beskidach Wschodnich ośmiu koleb oraz schronisk na Pop Iwanie, Kostrzycy, Pikulu.

Kolejny zjazd karpacki w maju 1935 r. w Wiśle warto przypomnieć przede wszystkim z powodu treści i tematyki uchwał. Liczni przedstawiciele władz i organizacji turystycznych doszli do wniosku, że śmiałe plany z poprzednich lat nijak się mają do rzeczywistości. Po prostu – mało co zrealizowano. Niemal każdy pomysł był „na wyrost” i jakby „nie z tej ziemi” w stosunku do uwarunkowań, głównie ekonomicznych. Planowano np. zbudowanie 135 km dróg na Podhalu i... 562 km na Huculszczyźnie, w bardzo trudnym terenie oraz przebudowanie 485 km dróg biegnących wzdłuż Karpat. W ówczesnym pow. leskim w 1934 r. planowano zbudowanie drogi Cisna – Łupków i wykonano zaledwie 6,5 km, a na odcinku drogi Komańcza – Jaślika wykonano 17 km, zaś w powiecie krośnieńskim droga z Tylawy do Polany miała 9 km twardej nawierzchni. Planowana droga Bóbrka – Rajske miała tylko 6 km, a budowy drogi do Sianek poniechano z braku środków. Powódź w 1934 r. zmyła stynną drogę pienińską.

Zamiary w stosunku do wymienionych schronisk tatrzańskich pozostały na papierze. Z brudem w uzdrowiskach walczone za pomocą konkursu *Czysta chata*. Z wycieczek szkolnych do Zakopanego zdzierano opłatę klimatyczną bez wyjątku. Poza tym trwał w tej wsi spór, czy zlikwidować kamieniołom już, czy dopiero po wydobyciu 160 tys. ton kamienia budowlanego.

Wróćmy jednak do cytowanego wcześniej poglądu prof. Klemensiewicza w sprawie turystyki młodzieży. O planie budowy schronisk, przygotowanym przez Henryka Szatkowskiego, naczelnika Wydziału Turystyki w Ministerstwie Komunikacji (to był potem jeden z twórców hitlerowskiego Goralenvolku, podpisał volkslistę i uciekł z Zakopanego w 1945 r. razem z resztkami niemieckiej potęgi wojennej) – dyskutował m.in. Stanisław Leszczycki. Stwierdził: *Plan budowy schronisk w Karpatach nie powinien być zbyt sztywny... Szlak wschodniokarpacki powinien zaczynać się od Przełęczy Łupkowskiej. Jest zatem (istotne), aby Karpat Polskich nie przegospodarowywać turystycznie, aby zatem istniały pewne tereny, tzw. rezerwy turystyczne dla turystów nie lubiących masowego ruchu turystycznego. W terenach tych nie powinno być ani znakowań, ani urzędzeń turystycznych. Terenem takim dla Beskidów Zachodnich powinien być południowy cypel powiatu żywieckiego, tzw. Worek Raczański.*

Popierając wniosek Leszczyckiego, Zygmunt Klemensiewicz powiedział:

...aby istniały w Karpatach Polskich tzw. rezerwy turystyczne, a jako rezerwat taki dla Karpat Wschodnich proponuję południowy cypel Polski [w granicach do 1939 r. – przyp. TK] z pasmami Czywczyna, Hnitesy, Baby Ludowej i Przelucnego. Powinien to być teren dziewiczy, jak obecnie [tj. w 1935 r.] bez schronisk i znakowanych ścieżek...

Pomimo upływającego czasu i całkiem słusznego przypuszczenia, że ze śmiałych projektów Leszczyckiego i Klemensiewicza oraz ich epigonów i naśladowców nic nie wyszło, trzeba temu zaprzeczyć!!! Wyszło, choć tylko na papierze. Już 14.02.1936 r., realizując wniosek ze zjazdu w Wiśle, Ministerstwo Komunikacji na wniosek radcy Mieczysława Orłowicza ustanowiło „rezerwat turystyczny” w paśmie Hnitesy, czyli tam, gdzie proponował Klemensiewicz. Nie powstał rezerwat – nawet na papierze, w Worku Raczańskim, tj. tam, gdzie proponował Leszczycki. W ten sposób – bo wniosek odnośnie Worka miał licznych popleczników – nie został wcielony w życie wniosek Międzyoddziałowej Komisji Zachodnio-Beskidzkiej, aby zaniechać zagospodarowania Żywiecczyny.

Informację o tym wydarzeniu znajdziemy w *Wierchach* (14: 1936 r.), podaną przez Witolda Milewskiego *...wobec powyższego projektowany niekiedy plan przedłużenia Głównego Szlaku Beskidzkiego PTT im. Marszałka Piłsudskiego aż po Hnitesę [...] stał się zupełnie nieaktualny. PTT bowiem całkowicie przychyliło się do uznania omówionego terenu za przyjęty w powyższy sposób „rezerwat turystyczny”*. Wypada dodać, że podczas trwania wspomnianego zjazdu w Wiśle zmarł Józef Piłsudski i niemal natychmiast na wniosek wiceprezesa Oddziału PTT w Poznaniu, Antoniego Jakubskiego, nadano imię Marszałka właśnie Głównemu Szlakowi Beskidzkiemu PTT.

Dlaczego towarzystwa turystyczne nie miały przystępu do młodzieży i nie mogły organizować turystyki młodzieżowej? Wspomnieliśmy o tym Zygmunt Klemensiewicz w Wiśle: *Towarzystwa turystyczne nie mogą nawiązać kontaktu z młodzieżą i zająć się bezpośrednio budzeniem wśród niej zamiłowania do turystyki górskiej, gdyż obecnie [tj. w 1935 r.] istnieje zakaz przynależności młodzieży szkolnej do towarzystw turystycznych, chociażby w charakterze uczestników. Należy dążyć do zniesienia tego zakazu*. Stało się to po części faktem w 1936 r., kiedy to PTT podpisało umowę z ZHP, a niektórzy działacze, m.in. Maria Irena Mileska, prowadzili jako instruktorzy harcerscy

pierwsze obozy wędrownie w Karpatach Wschodnich, zaś harcerze ze Śląska wybudowali własne schronisko pod Okrąglicą, czyli Trzema Koronami (stoi, ale ledwo, ledwo, do dziś).

Jednemu z autorów „Na szlaku” zacytujmy poniższe informacje, bowiem jego walka o bezpłatne udostępnianie gór może przejść do historii turystyki. Minęło przecież sporo lat od ustanowienia początków w 1932 r. Czarnohorskiego Parku Narodowego (skromny rezerwacik – około 450 ha, był już w 1921 r.). Obowiązywał w nim regulamin, a w nim m.in. zakaz pozyskiwania drewna, wypalania koso-drzewiny, ograniczono wypas bydła. Ustalono też opłaty za wstęp: jednorazowy bilet kosztował 20 gr (przedwojenny), a sezonowa karta 2,50 zł. Dla członków PTT – wstęp był bezpłatny. Dzisiaj – Szanowny Kolego – ma pan do dyspozycji „Kartę Rabatową PTTK” i ani w niej śladu po bezpłatnym lub zniżkowym zwiedzaniu dziesięciu polskich górskich parków narodowych!

Wspomniani już wcześniej Klemensiewicz i Leszczycki, a po wielu latach Rygielski, Mazur czy Michałowski – nie doczekali się rezerwatu turystycznego w Bieszczadach. Ani gdzie indziej – bo nie ma już takich miejsc. Proponowali jednak funkcjonalny podział gór, aby uratować to, co się jeszcze da uratować przed totalnym zdeptaniem i sprzedaniem jako „produkt turystyczny”. Pisali w swej książce: *aby zagospodarowanie odbyło się w roztropny sposób ze zrozumieniem, że obszar pozbawiony niektórych elementów cywilizacji może stać się wielką atrakcją na naszym, coraz bardziej zurbanizowanym kontynencie. W przypadku Bieszczadów decydować o tym powinny: stan środowiska przyrodniczego, wysoki poziom wykształcenia i standard życia mieszkańców, program badań naukowych, rozwój twórczości artystycznej, model wypoczynku zapewniający regenerację sił ludziom pracy, przygotowanym do rekreacji w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, właściwie sterowany ruch turystyczny.*

Ile jeszcze brakuje do pełni szczęścia, do ucieleśnienia idei rezerwatu turystycznego? Dużo, bardzo dużo, może nawet aż za dużo, aby to było możliwe w naszych warunkach.

Zmarły niedawno Stanisław Leszczycki, już w 1971 r. o ochronie przyrody i środowiska pisał, że to konieczne, bo trzeba ratować siebie. Nawet w rezerwacie turystycznym – także, jeśli stanie się rzeczywistością.

Tomasz Kowalik

NA SZLAKU z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

NOWE WŁADZE PTTK

W atmosferze gorących i drobiazgowych dyskusji zakończył się XIV Walny Zjazd PTTK. Odbił się on w dniach 5-7 września w Lublinie przy udziale ponad 400 delegatów i licznych gości. Duży sukces wyborczy odniosło środowisko „górskie”. Prezesem Towarzystwa na następne cztery lata został Janusz Zdebski z Krakowa, wiceprezes w poprzedniej kadencji, silnie związany z „góralami”. Jednym z wiceprezesów został Marek Staffa, szef KTG ZG PTTK, a obok niego funkcję tę ds. programowych będzie pełnił Edward Kudelski, członek KTG, wiceprezes ds. górskich w poprzedniej kadencji. Ponadto członkiem prezydium ZG został ponownie Zbigniew Kresiek, członek KTG, dyrektor COTG i Domu Turysty w Krakowie. W skład ZG wszedł po raz trzeci Krzysztof R. Mazurski, wiceprezes ZG PTTK w latach 1989-91, przewodnik tg i przewodnik sudecki. Gratulujemy Kolegom i życzymy owocnej pracy, także na rzecz turystyki górskiej.

Redakcja

DEKLARACJA PROGRAMOWA POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO

1. Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, jako spadkobierca Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego oraz Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, strzeże i twórczo rozwija ideały poprzedników oraz pomnaża ich dorobek materialny.

2. Celem działania Towarzystwa jest popularyzacja i upowszechnianie zasad uprawiania turystyki, szczególnie kwalifikowanej oraz rozbudzanie zainteresowań krajoznawczych w społeczeństwie polskim. Poprzez turystykę możliwe jest wszechstronne poznanie kraju, kształtowanie społecznych postaw wobec dziedzictwa i wyzwań współczesnego czasu.

3. Towarzystwo zrzesza osoby uprawiające różnorodne formy turystyki i krajoznawstwa. Otwarte jest dla wszystkich zainteresowanych jego celami – niezależnie od wieku, przekonań, światopoglądu.

4. Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze wyraża wolę partnerskiej współpracy ze wszystkimi organizacjami działającymi w naszym kraju, jak również poza jego granicami.

5. Towarzystwo jest organizacją otwartą – w Jego imprezach mogą uczestniczyć wszyscy zainteresowani. Mogą oni również korzystać ze schronisk, stanic wodnych i innych obiektów, a także dorobku intelektualnego zgromadzonego w specjalistycznych placówkach takich, jak: Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej z Centralną Biblioteką Górską w Krakowie, Centralna Biblioteka im. Kazimierza Kulwiecia w Warszawie, Centrum Fotografii Krajoznawczej w Łodzi, regionalne pracownie krajoznawcze oraz muzea PTTK.

6. Szczególne znaczenie dla Towarzystwa ma działalność wśród młodzieży połączona z popularyzowaniem krajoznawstwa i turystyki.

7. Przedmiotem troski Towarzystwa jest racjonalne korzystanie z zasobów przyrody i dziedzictwa kulturowego oraz krzewienie idei poszanowania tych wartości dla przyszłych pokoleń.

8. Towarzystwo uznaje regionalizm za ważny element tożsamości narodowej mieszkańców Polski.

9. Przedsięwzięcia gospodarcze Towarzystwa służą realizacji Jego celów programowych.

XIV Walny Zjazd PTTK
Lublin, 7 września 1997 r.

Z PRASY O GÓRACH

Ponownie ruszyła

Na rok przed swoim stuleciem słynna Bieszczadzka Kolejka Leśna przestała jeździć. Zamknięto ją z powodów ekonomicznych: kolejka była coraz mocniej deficytowa i nie stało się chętnych do pokrywania niedoboru. Nie wszyscy pogodzili się z wymazaniem ciuchci z bieszczadzkiego krajobrazu. Rodziły się różne pomysły jej reanimacji. Jednym z nich było utworzenie Fundacji Bieszczadzkiej Kolejki. Ponad dwa lata upartego działania jej entuzjastów przywróciło ciuchcią Bieszczadom. W piątek 4 lipca rumuńska lokomotywka gwizdem dała sygnał do pierwszego kursu na trasie Majdan – Przysłop.

Kiedy około 300 robotników pod okiem jarosławskiego inżyniera Albina Zazuli budowało ją w latach 1890-95, przypisano jej dwie zasadnicze funkcje: stanowiła okno na świat dla mieszkańców położonych przy niej bieszczadzskich wiosek i umożliwiała transport drewna – największego bogactwa regionu. Kilkadziesiąt lat później kolejce przybyła trzecia funkcja: staje się jedną z największych atrakcji turystycznych Bieszczadów. Po prawie wieku jeżdżenia stanęła...

– *Dzisiaj ta kolejka ponownie rusza po kilkunastu latach obaw, że nigdy się to nie uda* – powiedział wojewoda krośnieński Piotr Komornicki – *Jest to oczywiście powód do dumy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ten rok jest dla niej rokiem kluczowym. Jeżeli nie udało się przełamać wszel-*

kich barier to jej uruchomienie byłoby z każdym rokiem trudniejsze. Kolejka rusza dzięki optymizmowi i uporowi wielu ludzi, na których czele stał Stanisław Weremiński.

– *Mam nadzieję, że kolejka rozpoczyna dzisiaj drugie stulecie* – mówi, nie kryjąc wzruszenia, prezes Fundacji Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej Stanisław Weremiński. – *Wierzę, że będzie słuszną i naszą, naszym dzieciom i naszym wnukom.*

Z Majdanu lokomotywka z czterema wagonikami rusza o 12.30. Tuż przed wyjazdem członek Zarządu Gminy Ryszard Denisiuk (zwany Szejkiem) z szampanem w ręku dziękuje wojewodzie Piotrowi Komornickiemu za pomoc w ożywieniu ciuchci. W czasie pierwszej podróży przegrzywa kapela „Stachy”. Po 49 minutach jazdy dotarla do Przysłupia. Przejechała 11,3 km. Maksymalna prędkość składu wynosi 25 km/godz. Jednak ciuchcia tak nie pędzi. Jedzie sobie za średnią prędkością 15 km/godz. Jak z górki za bardzo się rozpędza, obsługa w wagonikach szybko kręci ręcznymi hamulcami. „Marian i Antek ostro hamują”. W Przysłupiu z wagoników wysypują się pasażerowie. Są wśród nich m.in. poseł Władysław Wrona, wicewojewoda Stanisław Jucha, wójt Komańczy Barbara Warchol, burmistrz Leska Stanisław Tabisz... Dziennikarze... Harcerze... Dzieciaki turystów... Na pasażerów kolejki czekają napoje chłodzące, smaczny bigos, piwko... Pojawia

się wesoly kominiarz z Baligrodu Ryszard Turkosz z akordeonem. Jego obecność powinna kolejce zapewnić szczęście.

Od połowy lipca zamierzano wydłużyć jej kurs do Wetliny...

– *Rzeczywiście chcieliśmy przedłużyć do Wetliny* – informuje wójt gminy Cisna Tadeusz Wrona. – *Okazało się jednak, że na trasie jest poważne usuwisko. Koszty jego usunięcia oceniono na 100 tys. zł. Na razie nie ma takich pieniędzy. Dlatego, jeśli środki finansowe na to pozwolą, to w pierwszym rządzie przedłużonoby kursowanie kolejki o odcinek na terenie gminy Komańcza od Rzepedzi do Duszatynia.*

Od 5 lipca ciuchcia kursuje już według rozkładu, który obowiązuje do końca sierpnia. O 9.00 startuje z Majdanu. Po kwadransie zatrzymuje się w Cisnej, a po następnym kwadransie przystaje w Dołzycy. Po godzinie jazdy wśród przepięknych krajobrazów zajeżdża do Przysłupia. Tu pół godziny odpoczywa i o 10.30 rusza w powrotną drogę. Bilet normalny kosztuje 5 zł, ulgowy – 3 zł. Od południa do wieczora można korzystać z przejazdów na zamówienie.

– *Wiążemy z naszą kolejką duże nadzieje rozwoju turystycznego naszej gminy* – dodaje wójt Cisnej. – *Kolejka była i znowu jest bieszczadzką atrakcją, która powinna przyciągać wielu turystów, a przecież turystyka jest podstawowym kierunkiem rozwoju naszej gminy i szansą rozwoju całej Bieszczadów.*

Szczegółowe informacje: (0-13) 46-961-98.
(T. Szewczyk, „Gazeta Bieszczadzka”)

ILEŻ TYCH SZLAKÓW NA JAŁOWCU???

Przyjęte zasady i prawałta metody polskiego znakowania w górach prywatnie zawsze wydawały mi się przekombinowane. Prowadzenie turysty za rączkę od znaku do znaku, połączone niekiedy z nadmiarem informacji na stanowiskach drogowskazów, bywa np. całkiem obce gospodarzom terenu w górach poza Polską, w tym także w górach wysokich.

Tymczasem u nas, w pogoni za ciągłym doskonaleniem informacji, można czasem dojść do całkowitego absurdu. Stan taki udało się osiągnąć tegorocznej wiosny na szczycie Jałowca (1110 m) w Paśmie Jałowieckim Beskidu Żywieckiego. Zaręczam, że gospodarz terenu, Oddział PTTK w Suchej Beskidzkiej, nie ma z całą sprawą nic wspólnego. Tym gorzej, bo wiszące dane kłócą się z podstawowymi kanonami rzetelności. A więc do konkretów...

Przez górny skraj Hali Trzebuńskiej, czyli przez szczyt Jałowca, przebiega tylko jeden żółty szlak, od strony

Lachów Gronia i Czerniawej Sucheju ku Kiczorze (903 m) i Przełęczy Przystop pod Magurką Suską. A popatrzmy, co sfotografował Jacek Ormicki w maju 1997 r. na PTTK-owskim rogalu – 15 drogowskazów, w tym jedynie dwa oryginalne. Czegoż tu nie ma? Hala Miziowa, Mędralowa, Zawoja, Czatoża, Przyborów, Sucha Beskidzka, Zawoja Przystop, Stryszawa, Babia Góra, Lipnica, Przełęcz Krowiarki, Ślemeń, Zawoja Centrum, Przełęcz Spytkowicka... Uff!

Na „dzikich” tabliczkach drewnianych, pomalowanych na brązowo lub zielono, częściowo zapisano czasy, a częściowo nie. Doświadczony w topografii turysta może się w tym wszystkim nie połapać, a co dopiero mówić o niedzielnym wycieczkowiczu.

Osobiście nie dostrzegam różnicy pomiędzy dumną informacją o dojściu z Jałowca na Przełęcz Spytkowicką, do Lipnicy czy na Halę Miziową od umieszczenia tu jeszcze innych, np. na Skrzyżeczne, Turbacz – a może do Krośnienka?

Mylnie umieszczone na „ni-by drogowskazach” kolory dopełniają całości fatalnego odczucia: dlaczego np. na Halę Miziową z Jałowca szlak zielony, a do Zawoi Centrum żółty??? Szkoda czasu dalej się w tę głupotę wgłębiać.

Dotykamy tu zatem sprawy szerszej i dostrzegalnej już dzisiaj nie tylko na Jałowcu. Do samowoli na szlakach wszczynanej przez urzędy gmin lub pojedynczych oszołomów dołączyła się sprawa kolejna. Oto PTTK-owskie stupy i rogalie stały się punktami bezkarnego i bezwolnego wieszania informacji i rzeczy najróżniejszych. Sądję, że to jeden z istotniejszych tematów na tegoroczną, jeścienną naradę znakarzy.

Andrzej Matuszczyk
KTG ZG PTTK

NIE ZADEPTAĆ PARKU

Rocznie Bieszczadzki Park Narodowy odwiedza kilkaset tysięcy turystów. Szacuje się, że w ubiegłym roku przez bieszczadzkie poloniny przeszło od 400 do 600 tysięcy osób. Tak duża rozpiętość w ocenie liczby turystów wynika z faktu, że BdPN dopiero od dwóch lat kontroluje ruch turystyczny i dopracowuje system monitorowania tego zjawiska oraz stara się oceniać wpływ turystyki na stan szlaków.

Ocena stopnia zanieczyszczenia środowiska przyrodniczego, w tym wpływu turystyki na jego stan, dokonana w 1995 i 96 roku wykazała znaczną degradację szlaków turystycznych. Z przebadanych ponad 90 kilometrów tylko 23 km uznano za nie zmienione. Ponad 50% to szlaki zagrożone, w tym 7 km silnie zniszczone. Największej presji turystów poddane są odcinki biegnące z obwodnicy bieszczadzkiej w kierunku Poloniny Wetlińskiej, tzw. „końska droga”, oraz odcinek do baczówki pod Małą Rawką. Duże zniszczenia spowodowane są nie tylko turystyką pieszą, ale także regularnymi przejazdami samochodów obsługujących schroniska turystyczne w tych miejscach. Nie mniejsze zniszczenia zaobserwowano na trasie Wolosate – Tarnica oraz w obrębie samej Tarnicy, Hali i innych kopal popularnych bieszczadzskich szczytów. Tam też obserwuje się silną presję turystów na formy skałkowe i roślinność muraw alpejskich. Na Tarnicy obszar całkowitego wydeptania osiągnął już 300 m², a częściowo zniszczona została roślinność na prawie 1400 m². Podobny do pustynnego krajobraz można zaobserwować w obrębie schroniska na Poloninie Wetlińskiej. W wielu miejscach głębokość wcięć erozyjnych przekracza metr, a szlaki rozwidlają się na kilka ścieżek biegnących obok siebie i zajmujących kilkanaście metrów szerokości. Występująca degradacja gleby powoduje, że z ponad 100 zbiorowisk roślinnych stwierdzonych na terenie parku 50 jest narażonych i zagrożonych przez ruch turystyczny.

Na taki stan rzeczy ma wpływ także zła struktura szlaków, które przebiegają w większości przez grzbiety polonin, a odcinki biegnące zboczami prowadzone są prostopadle do grzbietów, nie zaś trasami, co powoduje zwiększoną erozję.

Co prawda sytuację w Bieszczadach i presję turystyki trudno porównać z problemami występującymi w Tatrach, ale i tak ekologdy i specjaliści są zaniepokojeni, wzywając do przeciwdziałania tym niekorzystnym zjawiskom. Z tego też powodu kilka lat temu zamknięto szlak biegnący przez grań Krzemienia. W najbliższym czasie (jeszcze w tym sezonie) zostanie zmieniony przebieg szlaku na Smereku, który będzie w nowej wersji omijał jeden ze szczytów. Z pieniędzy uzyskanych z biletów wstępu do BdPN zamierza się wyremontować najbardziej zagrożone odcinki. Postawione zostaną barierki ograniczające i ukierunkowujące ruch turystyczny. Ograniczona zostanie również erozja wodna poprzez założenie drenów.

Jednak – jak podkreślają przedstawiciele Parku – działanie podjęte przez BdPN przyniosą efekt pod warunkiem, że spotkają się ze zrozumieniem ze strony setek tysięcy turystów odwiedzających ten zakątek naszego kraju. To od nich samych w głównej mierze zależy, czy w najbliższym czasie nie zdeptamy Bieszczadów.

(„Gazeta Bieszczadzka”)

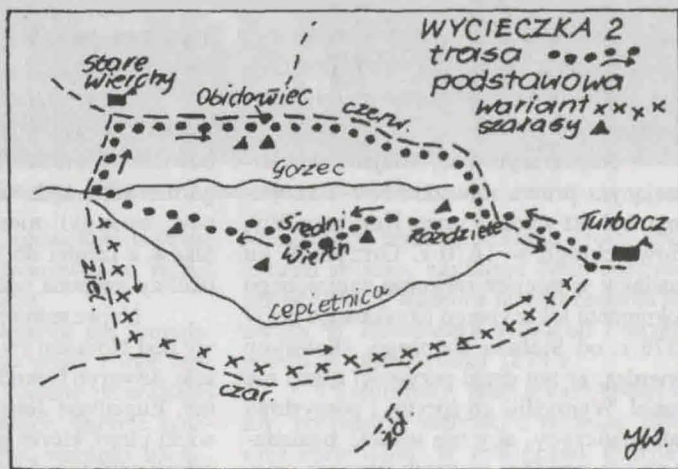
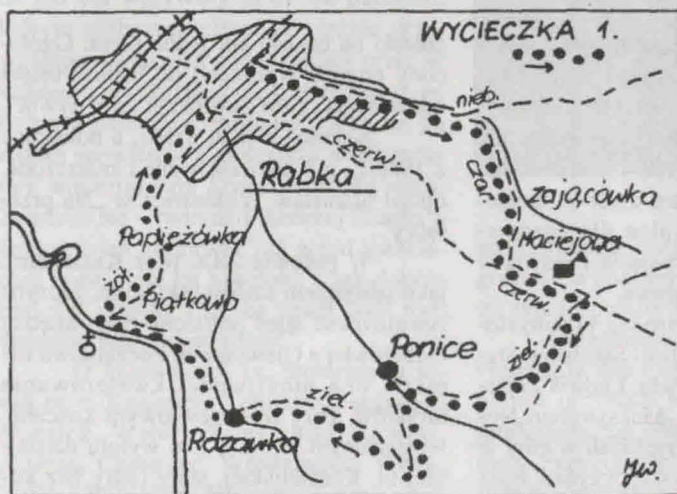


Jałowiec, maj 1997. Foto: Jacek Ormicki

Oto propozycja wędrowki gorceńskimi szlakami, ale nie tylko tymi znanymi, gdzie latem spotyka się dziesiątki, jeśli nie setki wycieczkowiczów i turystów. Jaki szlak jest najbardziej uczęszczany? Oczywiście z Rabki na Turbacz przez Maciejową i Stare Wierchy. W proponowanej wędrowce skorzystamy i z niego, ale w bardzo ograniczonym zakresie. Chciałbym zasugerować wędrowkę szlakami mało znanymi, choć wyznakowanymi już dawno, zachęcam też do zajrzenia w nieodwiedzane zwykle fragmenty Gorców.

gdzie obok przystanku PKS szlak raptownie skręca w lewo. Teraz wznosimy się na Górę Świńską (740 m), na wierzchołku której kolejna zmiana kierunku marszu. Skręcamy ostro na prawo i łagodnie schodząc w pół godziny osiągamy Rdzawkę. Stąd bardziej zmęczeni mogą wrócić do Rabki autobusem. Kto ma ochotę iść dalej, mijają kościół, po czym skręca na lewo, by wkrótce osiągnąć wzniesienie Piątkowej (715 m). Niestety, czeka nas kawałek marszu wzdłuż „Zakopianki”. Schodzimy czym prędzej na szlak żółty, którym przez

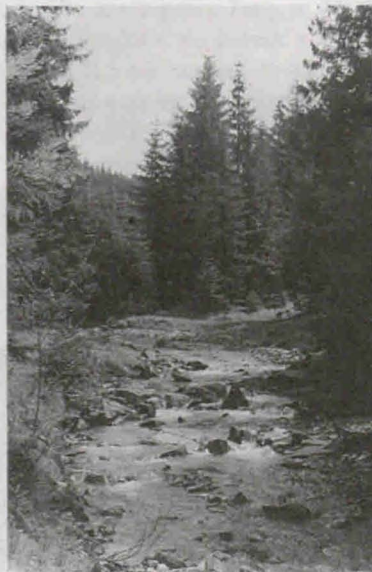
DWIE TRASY GORCZAŃSKIE



Dookoła Rabki. Pierwsza trasa może zainteresować wytrwałszych wczasowiczów spędzających urlop w Rabce. Do jej przejścia potrzeba około 5,5 godz. i dobrej pogody, ponieważ duże fragmenty wiodą w terenie bezleśnym i nie ma gdzie się schować przed deszczem. Za to jest łatwa i widokowa. Wychodzimy z Rabki niebieskim szlakiem wzdłuż pot. Słonka. Początek nieco uciążliwy, gdyż trzeba iść chodnikiem, a potem poboczem asfaltowej szosy. Wkrótce kończy się zwarta zabudowa i spotykamy zn. czarne, prowadzące nas dalej. Niebieski szlak odchodzi tymczasem na wschód, do Olszówki. Nasza droga zmienia kierunek na południowy, zdążamy do przysiółka Zajęcówka. Tam schodzimy z drogi na ścieżkę wiodącą na widoczny grzbiet. Przekraczamy potok i mijamy kilka zabudowań. Chwilę prawie płasko, potem coraz stromiej wznosimy się szlakiem w kierunku Maciejowej (815 m). Za nami nad doliną Raby potężniejsze masyw Lubonia, my zaś podchodzimy wzdłuż stoku, który jest szczególnie popularny zimą wśród narciarzy. Po osiągnięciu grzbietu spotkamy maszynownię wyciągu i GOPR-owską budkę. Tu spotykamy zn. czerwone i skręcamy na lewo w kierunku schroniska. Po kilkunastu minutach spaceru dochodzimy do popularnej baczki. Warto skorzystać z bufetu przed dalszą wędrowką. Ruszamy pod górę czerwonym szlakiem i po paru minutach uwalniamy się od tłumu wycieczkowiczów wędrującego w kierunku Turbacza. Spotykamy zielony szlak i zanurzamy się w lesie skręcając na prawo, na południe. Czekają nas pół godziny marszu leśną ścieżką, przy czym obniżamy się schodząc do doliny potoku Poniczanka. Można schodzić znakowanym szlakiem, można też ścieżką, również doprowadzającą do drogi w dolinie. Schodzimy do Ponice (przysiółek Kuptówka), parę minut idziemy drogą w dół doliny,

Papieżówkę (703 m) w godzinę docieramy do Rabki. Wzdłuż Poniczanki i alejkami przez park osiągamy centrum uzdrowiska.

Nad doliną Lepietnicy. Tym razem wyruszamy ze schroniska na Turbaczu. Czerwonym szlakiem należy dojść do Polany Rozdziele, gdzie schodzimy ze znakowanej ścieżki i maszerujemy w kierunku widocznego szałasu. Przed nami spory kawałek relaksowej wędrowki lekko obniżającym się grzbietem przez Solnisko (1181 m) i ciąg polan. Po drodze przechodzimy przez Średni Wierch (1114 m), a mijane polany to: Kalużna, Spalone, Tynowe, Stusy. Jeśli wybierzemy się tam na przełomie kwietnia i maja spotkamy tany krokusów, natomiast przez cały sezon od wiosny do jesieni prawie nie spotkamy turystów. Czasem ktoś szukający ciszy i spokoju wybierze się na tę nieznaną ścieżkę, ale niewiele jest takich „śmiałków”. Końcówka grzbietu to dość ostre zejście do Parzygnatówki, w dolinę potoku Gorzec (Obidowiec). W tym miejscu schodzą się dwa potoki, wspomniany Gorzec i Lepietnica. W cieniu drzew można chwilę odpocząć i obmyć się w chłodnej wodzie potoku. Warto to zrobić, bowiem czeka nas dość ostre podejście na Stare Wierchy, gdzie w schronisku można zatrzymać się na dłuższy popas. Stąd, przez Obidowiec wracamy czerwonym szlakiem na Turbacz i do pobliskiego schroniska. Całą trasę można przejść w 4,5 godz. Tylko po co się śpieszyć? Można ją wykorzystać na całodzienną spokojną wycieczkę.



Potok Lepietnica. Foto: Piotr Dacko

Wariant trasy: pierwsza część od Polany Rozdziele przez ciąg polan do Parzygnatówki. Dalej zielonym szlakiem przez Bukowinę Miejską i żółtym przez Wisielakówkę i Długie Młaki na Turbacz. Całość ok. 5-5,5 godz.

Juliusz Wysłouch

Wśród górali przetrwała legenda, że pierwszym, który osiedlił się na stałe w Zakopanem, był zbiegły giermek Samuela Zborowskiego. Nosił pasiaste ubranie, dlatego sąsiedzi z okolicznych wiosek przewalali go Gąsienicą. Mieszkał na polanie za karczowiskiem, czyli za „kopianem”, i stąd prawdopodobnie wywiodła się nazwa osady. Pierwotnie mieszkali w niej, i tylko w

W 1889 r. dobra zakopiańskie przeszły drogą kolejnej licytacji do rąk Władysława Zamoyskiego, patrioty i społecznika, przeciwnika eksploatawania bogactw kruszcowych.

Szkołę, podobnie jak i lekarza zakładowego, aptekę, sklep i miejscową kapelę, utrzymywała tzw. „Puszka Bracka” – pierwsza w Zakopanem społeczna instytucja, rodzaj kasy zapomogowo-pożycz-

czyła je miejscowa ludność. O losie pamiętki po arcyksięciu Karolu Ludwiku tak pisał Juliusz Zborowski: „W 1889 r. dobra zakopiańskie zakupił Władysław Zamoyski. Nie zachwycił się pomnikiem. W postumencie brakowało kilku liter. Zarząd dóbr zakopiańskich ogłosił, że zaginęły i że za każdą znalezioną literę wypłaci guldena. Zabrano się więc ochoczo do pozostałych liter. Do dwóch tygodni nie po-

KARIERA ZAKOPANEGO (1)

lecie, pasterze z Nowego Targu, wypasający owce i bydło w kotlinie pod Giewontem, lub poszukiwacze metali szlachetnych.

Najstarszym przywilejem zatwierdzającym prawa mieszkańców Zakopanego był akt wydany przez Korybuta Wiśniowieckiego w 1670 r. Otrzymali go osadnicy w miejsce rzekomo zaginionego dokumentu lokacyjnego uzyskanego już w 1578 r. od Stefana Batorego. Historycy twierdzą, że ten drugi przywilej nigdy nie istniał. Wymyślili go sprytni i pomysłowi zakopiańczycy, aby nie utracić posiadanych już gruntów na rzecz nowych osiedlających się pod Tatrami mieszkańców.

Początkowo wieś nie różniła się od podobnych osad rozrzuconych po okolicy. Ludność zajmowała się pasterstwem, uprawą roli, wyrobem sukna, kłusownictwem i zbójowaniem. Od drugiej połowy XVIII w. mieszkańcy mogli dorabiać sobie w „hamrach”, tj. hutach żelaza, w Kuźnicach, lub w kopalniach rudy w Dolinie Jaworzynki, na Magurze i w Dolinie Kościeliskiej.

Do największego rozkwitu przemysłowego ośrodka kuźnickiego doszło po 1830 r., gdy właścicielem tzw. dóbr zakopiańskich, tj. starostwa nowotarskiego, został Edward Homolacs. Niewielkie zasoby rudy i rabunkowa gospodarka późniejszych właścicieli, Eichborna i Peltza, spowodowały upadek zakładu: urządzenia hutnicze rozebrano, a na ich miejsce Peltz wybudował papiernię, które pochłonęły ogromne ilości drewna z lasów tatrzańskich.

W 1861 r. przy zakładach hutniczych zorganizowano jednoklasową szkołę, do której uczęszczało około pół setki dzieci kuźnickich. Uczono je religii, rachunków, języka polskiego i nadobowiązkowo – historii narodowej. Kandydatów na nauczycieli kwalifikowała miejscowa komisja, wystawiając np. takie opinie: „...nima dokumentów żadnych, pisać nieumi, boi się wykładać historię polską”.

kowej; zajmowała się sprawami socjalnymi pracowników hut i kopalń na Podhalu.

Pierwsi taternicy często zatrzymywali się w Kuźnicach. Tu mieściła się bowiem administracja huty i tatrzańskiego górnictwa, znajdował się dwór Homolacsów, budynki mieszkalne dla pracowników z izbami do wynajęcia i jedyna w okolicy gospoda noclegowa.

Najwcześniej ośrodek przemysłowy pod Nosalem zwiedzali Stanisław Staszic, Seweryn Goszczyński, Ludwik Zejszner, Eugeniusz Jonata, Maksymilian Nowicki i inni, którzy przyjeżdżali w góry w celach naukowych i dla wypoczynku, bądź dla leczenia się. (Już w pierwszym ćwierćwieczu minionego stulecia uznano okolice Karpat za uzdrowisko dla suchotników. Chorych poddawano wówczas modnej przez długie lata kuracji żętycowej).

Właściciele osady gościli u siebie nieraz osobistości, które „raczyły” odwiedzić Tatry, np. gubernatorów lub członków cesarskiej rodziny. Na pamiątkę ich pobytu ustawiono w górach lub w dworskim ogrodzie żelazne cokoły, ale szybko nis-

została na cokole ani jedna litera. Ogołocony pomnik wycofano do lamusa celem odnowienia. Tam zakończył swój żywot”.

Kuźnice z tego czasu, a dokładnie z 1888 r., już zdewastowane i zniszczone, opisał Stanisław Witkiewicz w „Na przełęcz”.

W połowie XIX w. z Kuźnicami, jako ośrodkiem uzdrowiskowym, zaczyna rywalizować wieś położona niżej między Gubałówką a Giewontem. Początkowo nie miała ona możliwości kwaterowania turystów. Przy modrzewiowym kościele, wzniesionym w 1848 r. u wylotu dzisiejszej ul. Kościeliskiej, stały chaty bez kominów, z podwórkami pełnymi nawozu. Jeszcze w 1860 r. Eugeniusz Janota nadmieniał, że podróżujący po Tatrach przybywają zwykle do Nowego Targu i „zajrzawszy ku hutom zakopiańskim i tak zwanemu źródłu Białego Dunajca, przypatrzwszy się Morskiemu Oku i Dolinie Kościeliskiej aż do Pisanej, wracają na łeb, na szyję”.

Pierwszym, który postawił piętrowy dom z myślą o gościach, był Józef



Giewont z Zakopanego. Foto: Piotr Dacko

Krzeptowski. W tym budynku mieszkali pierwsi letnicy, mieściła się pierwsza zakopiańska restauracja, sklep i poczta.

W 1847 r. przybył do Zakopanego, aby objąć posadę proboszcza, wikary z Tamowa – Józef Stolarczyk. Zamieszkał u górala Staszecka, a nabożeństwa odprawiał w małej kaplicy ufundowanej na początku XIX w. przez Pawła Gąsienicę. Dzięki inicjatywie własnej udało się mu wkrótce wybudować proboszczówkę, drewniany kościół, organistówkę i szkołę. Za jego czasów wykonano też większość prac przy wznoszeniu murowanego kościoła. Środki na ten cel wpływały m.in. od parafian, którym proboszcz zlecał za cięższe przewinienia, zwłaszcza wykraczające przeciw szóstemu przykazaniu, dostarczać na teren budowy granitowe kamienie. Tak więc po każdej spowiedzi, a zwłaszcza wielkanocnej, materiału na kościół przybywało. Zdarzało się – twierdził Andrzej Stopka – że „niejeden góralczyk już przed spowiedzią nosił skole ku kościołu, a tak dobrze obliczył grzechy (...), że zgadł ilość torb kamieni, które miał znieść”.

O działalności ks. Stolarczyka pisał m.in. Kazimierz Tetmajer, Ferdynand Hoesick, Walery Eljasz-Radzikowski, Andrzej Chramiec, Włodzimierz Wnuk, Zofia i Witold H. Paryscy. Z ich relacji wynika, że proboszcz był pierwszym, który wszczepiał cywilizację na Podhalu. Jego praca nie ograniczała się tylko do krzewienia zasad religijno-moralnych, choć i w tej dziedzinie była pionierska. Został pod Giewontem, jak to przyznaje w „Kronice parafii zakopiańskiej”, „...lud na pół dziki, chytry i chciwy”, który do praktyk religijnych nie bardzo się gamął. Proboszcz zastosował więc wobec parafian szereg metod wychowawczych: zatwardziały grzeszników imiennie wskazywał z ambony lub chłostał, innym za udział w nabożeństwie czy przyście do spowiedzi udzielał drobnych pożyczek pieniężnych. Przy kościele organizował chóry dziewcząt i kobiet, co wieczór odwiedzał inną góralską chatę. Uczył higieny, sposobu ubierania się, przepisów kulinarnych i chowu bydła. Zapraszał na plebanię kobiety ze wsi zachęcając do naśladowania jego gospodyni w prowadzeniu domu i oporządzeniu obory. Kazania wygłaszał w gwarze góralskiej. Kilka fragmentów, zanotowanych przez Andrzeja Stopkę i Wojciecha Brzęgę, opublikował Włodzimierz Wnuk. Oto jak proboszcz karcił z ambony pijaków: „Kiebyś ty se mięsa kupił i zjadł za te pieniądze, co dajes na gorzołkę, to byś był chłopem i nie ryłbyś nosem w błocie po drodze. Jak nie pojes, ba, wypijes, to cie za ciężko zarobione pieniądze gorzołką



Willa pod Jedłami w Zakopanem. Foto: Archiwum

po drodze prac będzie, sponiewieros swoją godność, a i odzienie sponiewieros. Wstyd mi tylko i parafii robicie”.

Decydujące znaczenie dla spopularyzowania Zakopanego miały coraz liczniejsze przyjazdy na Podhale przodującej inteligencji ze wszystkich dzielnic polskich. Przyciągały góry, warunki klimatyczne, górale i względna swoboda polityczna Galicji. Do Zakopanego przybywali coraz nowi miłośnicy Tatr, a wraz z nimi wybitny lekarz i botanik – Tytus Chałubiński.

Do Zakopanego przyjechał pierwszy raz w 1852, a następnie w 1858 r. Niektórzy z biografów, np. Ferdynand Hoesick, Zbigniew Wójcik, Jalu Kurek, przekazali wcześniejszą datę jego pobytu na Podhalu. Ich zdaniem, Chałubiński brał udział w powstaniu na Węgrzech jako lekarz ambulansu wojskowego i wracał potajemnie do kraju przez Tatry w 1849 r. Relacja ta spotkała się jednak z krytyką jako nieścisła i nie poparta dowodami.

Jakkolwiek by było, pierwsze przyjazdy profesora na Podhale miały charakter turystyczny i nie wywarły wpływu na kształtowanie się środowiska kulturalnego w Zakopanem. Inicjatywy decydujące o rozwoju wsi podejmował Chałubiński wspólnie z innymi dopiero w latach następnych, poczynając od 1873 r. Była to data pamiętna choćby z tego względu, że do Zakopanego przybyło więcej niż zwykle gości. Walery Eljasz-Radzikowski w liście skierowanym do ojca, Wojciecha, już w 1872 r. pisał, że pod Giewontem jest przepełnienie, bo bawi tu dwieście pięćdziesiąt osób. W rok później liczba ta wzrosła do czterystu letników. Powodem licznej frekwencji była epidemia cholery w Krakowie.

Mieszkańcy podwawelskiego grodu opuścili miasto, szukając bezpiecznych miejscowości. Razem z nimi przenosiła się zaraza. W Zakopanem trwała od 1 września do 10 października 1873 r.

Chałubiński, jako lekarz-społecznik, pośpieszył ludności z pomocą, również materialną. W zwalczaniu choroby pomaga mu dr Urbanowicz ze Żmudzi i inni. Pracę utrudniały ciemnota i zabobon górali, którzy porzucali w popłochu zagrody, pozostawiając w nich chorych lub zmarłych. Chałupy zabijano deskami.

Józef Stolarczyk informuje, że Chałubiński, który mieszkał u niego z drugą żoną i jej dwiema córkami, nawet nocą wymykał się do chorych, urządzał im postania, przenosił zarażonych itp. Jeszcze przed wybuchem epidemii postawił na Gubałowie, w uzgodnieniu z ks. Stolarczykiem, żelazny krzyż. Miał on być jawnym wyznaniem wiary i zadośćuczynieniem za rozgłos, który wywołało rozejście się Chałubińskiego z Anną Leszczyńską i posłubienie żony Krzywickiego.

O działalności społecznej doktora na rzecz rozwoju wsi Zakopane informowali wszyscy piszący o Podhalu i o Tatrach, a historia tych opracowań ma już ponad sto dwadzieścia lat, gdyż zaczęła się jeszcze za życia Chałubińskiego. Najładniej wyraził się o Doktorze Stanisław Witkiewicz w „Na przełęcz”. Opinia, którą cytują do dziś autorzy rozpraw o Chałubińskim, sformułowana jest następująco: „Nie ma zresztą w Zakopanem takiej dobrej sprawy, która by nie była przez niego zapoczątkowana lub przeprowadzona”.

c.d.n.
Teresa Stala

STARA KAMIENICA (Alt Kemnitz), gmina Stara Kamienica.

W 1242 (1243) r. dotychczasowy kasztelan zamku Sibotho Schof*, przez większość historyków uważany za przed-

został zniszczony. Odbudowano go ponownie w XVI w.

W nocy z 16 na 17 grudnia 1615 r. stała się na zamku rzecz straszna. Otóż pachofek Wolf Friedrich, zwany Rettig,

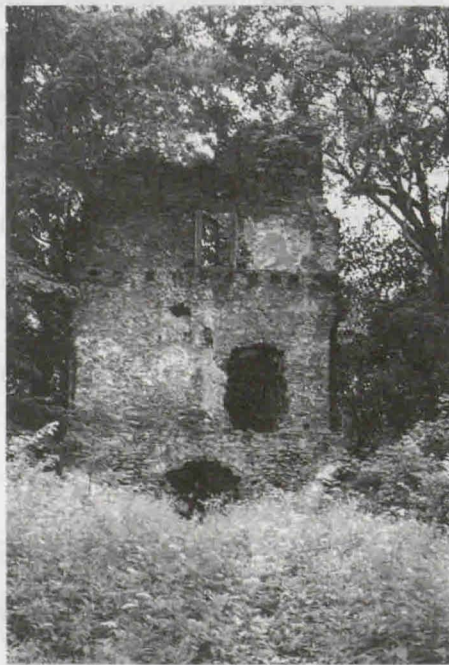
STARA KAMIENICA

ka rodziny von Schaffgotsch, otrzymał Starą Kamienicę w darze od księcia Bolesława II Rogatki, dlatego miejscowość ta i zamek są gniazdem rodowym rodziny. Z tego samego roku pochodzą najstarsze formy nazwy miejscowości, mianowicie *Kemnitz* i *Chemnice*. Z 1297 r. znana jest forma *Kemnitz*, a z 1380 *Kemenecz*. W początkach XV w. Gotsche Schoff młodszy tytułował się „panem na Chojniku, Gryfie i Starej Kamienicy”. Ze śmiercią w 1601 r. Adama barona von Schaffgotsch ze Żmigrodu wymarła linia kamienicka, a majątki, w tym Stara Kamienica, przeszły na kuzyna z Chojnika – Christophą. Ten zaś zmarł krótko po ich odziedziczeniu, a dobra przejął najszlachetniejszy z Schaffgotschów – Hans Ulrich. W 1641 r. cesarz Ferdynand III skonfiskował jego cały majątek, a dobra ze Starą Kamienicą sprzedał za 100 000 guldenów generałowi Nicolausowi hr. von Palffy z Węgier. W 1680 r. kolejnym właścicielem został cesarski kapitan hr. von Zierotin z Moraw. Od 1756 r. właścicielem Starej Kamienicy był jeleniogórski kupiec Smith (Schmidt), a od 1770 r. legnicki Królewski Urząd Przytułków. Kolejny prywatny właściciel to Karl hr. von Röder od 1786 r., natomiast 18 sierpnia 1794 r. cały majątek kupił saski tajny radca Gottlieb Wilhelm hr. von Breßler. Nie mieszkał on jednak w nowo zakupionym majątku, lecz oddał go w dzierżawę. W połowie XIX w. Stara Kamienica była własnością H.W.K. hr. von Breßlera. W 1943 r. nowym właścicielem dóbr rycerskich został Richard Dittmann.

Według niektórych badaczy niemieckich, powołujących się na mało krytyczną historię Śląska Ephraima Ignaza Naso, już w IX wieku istnieć tu miał obronny gród słowiański. Kronika Trautmannna podaje natomiast, że zamek wznosił Bolesław Chrobry w 1004 r., a w 1241 r. miał być rozbudowany przez ks. Bolesława II Rogatkę (Łysego). Powstały wtedy przestronne, sklepione pomieszczenia. Przebudowany został zapewne w XIV w. W czasie wojen husyckich zamek

ugodził rapierem 21-letniego Bernharda von Schaffgotsch, czym spowodował jego śmierć i tym samym wymarcie linii ubogich krewnych z Radomierzyc i Trzcina.

W następnym roku miał miejsce kolejny dramat, tym razem dotyczący bezpośrednio budowli. Otóż 20 sierpnia zamek kompletnie spłonął, a z pożaru obronną ręką wyszły jedynie stajnie i stodoły. Johann Ulrich baron von Schaffgotsch podjął się odbudowy zamku i w 1630 r. magnacka siedziba była już gotowa do zamieszkania. Budowla została podwyższona o nowe piętro i zawierała teraz 70 pomieszczeń.



Wojna trzydziestoletnia obeszła się łaskawie z nową siedzibą Schaffgotschów. Wprawdzie w 1640 r. zamek zajęty został przez szwedzki oddział 400 żołnierzy gen. Lennarta Torstensoną, ale skończyło się tylko na ogólnej demolce. Pałac spłonął natomiast w 1758 r. wraz z jedenastoma innymi budynkami w górnej części wsi. Zniszczony wtedy, nie został już nigdy odbudowany. Zachowane jeszcze na przełomie XIX/XX w. suche piwnice zachowywały stałą temperaturę 8°C, co z satysfakcją odnotowywali ówcześni kronikarze.

Należy wspomnieć, że znajdował się tu park, utworzony już podczas przebudowy zamku w początkach XVI w. W XIX w. jego powierzchnia liczyła 6,5 ha. Prowadziła do niego, zachowana do dziś, barokowa brama z 1759 r., którą wieńczy rzeźba, przedstawiająca Herkulesa zabijającego lwa.

Pozostałości zamku znajdują się w centrum wsi, blisko kościoła, ale w lecie trudno je dostrzec, bowiem otaczają je gęsto drzewa i krzewy. Na niewielkim wzniesieniu o wymiarach ok. 50m x 25m, otoczonym onegdaj fosą z wodą, stoi zniszczona kamienna wieża, będąca północno-wschodnim fragmentem dawnej budowli. Zachowana wieża była jednocześnie bramą wjazdową, prowadzącą na dziedziniec o nieregularnym kształcie. Nad wejściem we wspomnianej bramie jeszcze kilkadziesiąt lat temu odczytać można było datę 1562, oznaczającą być może rok wykonania jakichś prac remontowych. Po obu stronach wejścia były także dwa płaskorzeźbione popiersia, będące być może przedstawieniem ówczesnego właściciela i jego małżonki. Hans Lutsch zwracał uwagę na wysoki kunszt, z jakim wykonano popiersia, a zwłaszcza na bardzo misterne przedstawienie włosów kobiety. W południowo-wschodniej ścianie wieży, na piętrze, do dziś znajduje się renesansowe, kamienne obramienie okienne. Zachowały się też pozostałości tynków, a wcześniej były tu sgraffita. W południowo-wschodniej części dziedzińca znajdowała się studnia, a w końcu ubiegłego wieku istniał jeszcze kamienny most, prowadzący do wieży.

Do Starej Kamienicy najlepiej dojechać samochodem, zjeżdżając w lewo z głównej trasy Jelenia Góra–Zgorzelec. Zjechać najlepiej w Rybnicy lub nieco dalej, w Barcinku. Można też dojechać autobusem PKS z Jeleniej Góry lub pociągiem PKP, także z Jeleniej Góry albo z Gryfowa Śl.

Tekst i foto: **Romuald M. Łuczynski**

* Nazwisko to wywodzi się od właściwego nazwiska Schaf i przydomka Gotsch. Rozdzielnie było używane aż po wiek XVII. Po raz pierwszy użyte zostało jako jednowyrazowe prawdopodobnie dopiero w 1611 r. Pisząc zatem o wcześniejszych przedstawicielach rodu, słuszniej jest używać nazwiska w formie dwuczłonowej. (Por. A. Kwaśniewski, *Herb Schaffgotschów – fakty i legendy*, (w:) „Karkonosz. Sudeckie Materiały Krajoznawcze”, R. 1993, nr 2-4, s. 66-67, 102).

Oczywiście w butach. Powie ktoś, że nie warto poruszać tego tematu, bo rynek zarzucony jest obuwem turystycznym wszelkiej maści. Rzeczywiście, w sklepach ze sprzętem turystycznym i sportowym półki uginają się pod furami „sportiv”, „boreali”, „scarp” i innych. To nie jest reklama, to jest rzeczywistość i handlowe realia. Jest też sporo butów pionierko-

powane. Informuję więc, że traperzy żyją, a ich produkcja rośnie. Niestety, upadła produkcja „himalajów”. Wiem, że nadal cieszą się dobrą opinią i wielu właścicieli sklepów górskich chętnie widziałoby je na swoich półkach. O „tatemikach” i „zawratakach” już nie wspominam, bo niektórzy pomyślą, że sięgam pamięcią niemal bitwy pod Grunwaldem. Nie rozumiem,

produkują niezłe buty turystyczne („survivors”). Jest to obuwie lżejsze od „traperów”, dosyć solidne, także z wszywanym językiem.

Pytajmy zatem o prawdziwe traperzy w sklepach ze sprzętem. Klubom polecam bezpośredni zakup u producenta. Poniżej podaję odpowiednie adresy i numery telefonów w Krośnie. Zapewniam także, że w Krośnie nadal szyją dla nas traperzy i jeszcze kilka innych modeli butów turystycznych.

Zamówienia zbiorowe kierować: kierownik Działu Marketingu, Sprzedaży i Eksportu, mgr inż. Stanisława Gonet, 38-400 Krosno, ul. K. Pużaka 18. Tel. (0-13) 43-634-11, fax (0-13) 43-211-38.

Juliusz Wyslouch

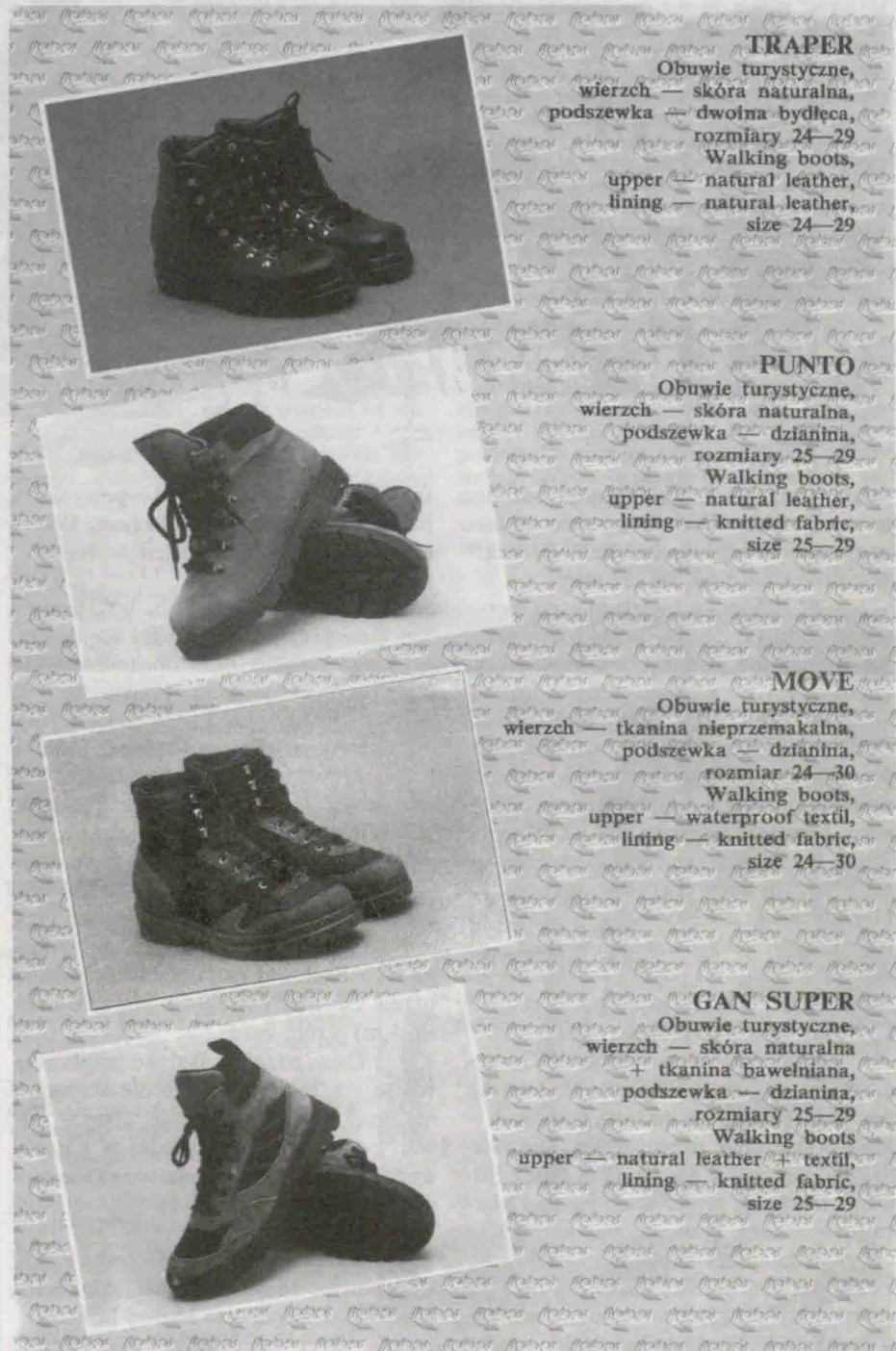
W czym chodzić?

podobnych i tzw. „trekkingowych”. „Trekking” to modny dziś wyraz i posługując się nim czasem wcisną się mniej świadomym klientom niezły „kit”. Wynika z powyższego, że wybór, choć pozornie ogromny, jest właściwie niewielki: albo kupimy but „okołoturystyczny” albo niemal „profesjonalny”, lecz za bardzo duże pieniądze. Niestety, wszystkie importowane buty górskie są bardzo drogie – ceny zaczynają się od 200 złotych. Za ok. 130-180 zł można kupić „lekkie” obuwie turystyczne, raczej nie polecane na pełną trudów górką wędrówkę. Zakładam, że rozmaite „adidasy” i tym podobne trampki służą nam tylko na zmianę obuwia po wycieczce, ewentualnie na niedługi spacer w najłatwiejszym terenie.

Pewnie niektórzy się zdziwią, dlaczego piszę o butach, a w dodatku za chwilę przypomnę, jak taki but powinien wyglądać. Przecież wszyscy to wiemy! Może i wiedzą, ale zbyt często zapominają albo z posiadanej wiedzy nie korzystają. To po prostu widać na górskich szlakach. Pamiętajmy zatem, że po górach chodzimy w porządnym obuwie turystycznym, a nie w jakichś podróbkach. Nic nie zastąpi solidnego grubego wibramu i wysokiej, chroniącej kostkę cholewki. But nie może być miękki, ale musi być elastyczny. Cienka skóra słabo chroni przed urazami, łatwo też o kontuzję na nierównościach terenu jeśli cholewka „nie trzyma” kostki i stawu skokowego.

Buty kryte różnymi tkaninami, a nie skórą, zawsze przegrają z solidnym obuwem skórzanym. Po prostu trwałość skóry zawsze jest większa niż jakiegokolwiek tkaniny. Producentom o tym wiedzą, handlowcy też, dlatego buty kryte tkaninami są dużo tańsze niż skórzane... (?) Ale nie u nas! To u stóp Marmolady w Dolomitach ceny butów skórzanych były nawet dwukrotnie wyższe niż nieskórzanych. Niestety, u nas jest odwrotnie. Ale nie musimy kupować drogich butów z importu skoro nadal produkowane są dobre i wygodne „traperzy”. Nie mam jednak na myśli czegokolwiek, co nazywano „traper” – w sklepach pełno jest butów tak nazywanych. Do tego wiedza sprzedawców jest zerowa i wszystko, co ma pod spodem wibram, nazywają „traperami”. Pamiętajmy, że traperzy są tylko jedne – te produkowane od początku lat siedemdziesiątych w Krośnie. Tu nie chodzi o kryptoreklamę. Po prostu nowe pokolenie turystów nie wie, że mogą kupić solidny górski but za dwukrotnie mniejsze pieniądze niż oferowane masowo buty impor-

dlaczego upadła ich produkcja, skoro rynek wchłania wielkie ilości obuwia górskiego. Informuję, że także nowotarskie zakłady



TRAPER
Obuwie turystyczne,
wierzch — skóra naturalna,
podeszwa — dwojna bydlęca,
rozmiary 24—29
Walking boots,
upper — natural leather,
lining — natural leather,
size 24—29

PUNTO
Obuwie turystyczne,
wierzch — skóra naturalna,
podeszwa — dzianina,
rozmiary 25—29
Walking boots,
upper — natural leather,
lining — knitted fabric,
size 25—29

MOVE
Obuwie turystyczne,
wierzch — tkanina nieprzemakalna,
podeszwa — dzianina,
rozmiar 24—30
Walking boots,
upper — waterproof textil,
lining — knitted fabric,
size 24—30

GAN SUPER
Obuwie turystyczne,
wierzch — skóra naturalna
+ tkanina bawełniana,
podeszwa — dzianina,
rozmiary 25—29
Walking boots
upper — natural leather + textil,
lining — knitted fabric,
size 25—29

Beskid Niski zawsze odczuwał niedosyt bazy noclegowej dla turystów, tak jest zresztą po dzień dzisiejszy.

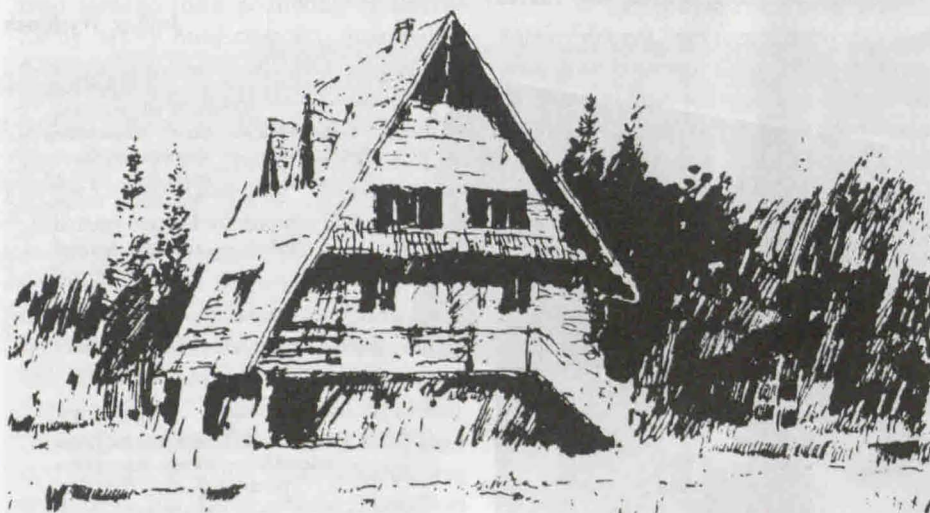
Na początku lat 50-tych, dokładnie w latach 1952 i 1953, została wyznakowana wschodnia część Głównego Szlaku Beskidzkiego od Krynicy w Beskidzie Sądeckim do Komańczy, na pograniczu z Bieszczadami. Oczywiście powstanie tego

w trójkącie wzniesień stworzonym przez Magurę Wątkowską (847 m), Mareszkę (801 m) oraz Magurycz Duży (788 m).

Realizacja niełatwej inwestycji ciągnęła się od września 1975 do czerwca 1977 roku, przy największym zaangażowaniu Zespołu Obiektów Turystycznych PTTK w Sanoku, wg następującego (skróconego) kalendarza robót: 1975 rok –

SCHRONISKO - BACÓWKA W BARTNEM

Bacówka PTTK Bartne



szlaku przez całkowicie dotąd odludne tereny Beskidu Niskiego musiało od razu spowodować ożywienie ruchu plecakowych turystów i tak się też stało.

W 1953 roku została otwarta pierwsza stacja turystyczna w Beskidzie Niskim, we wsi Bartne pod Magurą Wątkowską (847 m), z 15 noclegami w dość spartańskich warunkach, a tutejszy Gorlicki Oddział PTTK staje się inicjatorem przeprowadzenia pierwszego kursu znakarzy szlaków górskich z instruktorami z Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK.

Stacja turystyczna w Bartnem przy stałym dużym zainteresowaniu turystów funkcjonowała do 1964 roku (pożar), a po jej spaleniu znów w rejonie Bartnego powiało noclegową pustką, łagodzoną już jednak istnieniem sąsiedniego schroniska PTTK na Magurze Małastowskiej.

W roku 1974 w Zrzeszeniu Gospodarki Turystycznej PTTK w Warszawie powstaje koncepcja budowy bacówek – małych schronisk turystyki kwalifikowanej dla całych Karpat, podjęta przez Edwarda Moskałę, Wojciecha Militza i Marka Lengiewicza. Przy aktywnym poparciu i współdziałaniu z Oddziałem Gorlickim PTTK ma być szybko wdrożona decyzja o zbudowaniu jednej z bacówek, właśnie w Bartnem, a ściślej nad wsią o tej nazwie,

fundamenty i piwnice, 1976 – postawienie bacówki i przykrycie jej dachem, 1977 – doprowadzenie prądu i telefonu oraz wyposażenie obiektu.

Całkiem niedawno, bo 10 maja 1997 r., przy okazji XVIII Rajdu im. Ignacego Łukasiewicza obchodzono 20-lecie bacówki (dokładnie przypadające na 3 lipca 1997 r.). Od kwietnia 1996 roku gospodarzy w Bartnem Oddział PTTK w Gorlicach, a od dwóch lat dzierżawcą schroniska jest Maciej Lorczyk. Położenie przy Głównym Szlaku Beskidzkim, pomiędzy Wołowcem a Magurą Wątkowską – aktualnie na terenie najmłodszego, Magurskiego Parku Narodowego oraz przy dojściu dalekobieżnego szlaku niebieskiego aż z Szalowej na Pogórze Karpackim przez Gorlice i Magurę Małastowską (814 m) – robi swoje.

Odwiedzając Bartne spotkacie wspaniałą, niczym jeszcze nie skażoną i nie przekształconą przyrodę, ciszę – „twarz”, o który coraz trudniej w górach, wreszcie życzliwego i gościnnego kierownika obiektu.

Adres schroniska: Bacówka PTTK w Bartnem, 38-307 Sękowa, tel. (0-18/511-911). Dzierżawca: Maciej Lorczyk

Andrzej Matuszczyk

Właśnie zeszedliśmy czarnym szlakiem z Kudlonia. Zeszedliśmy? Raczej zlecieliśmy na łeb, na szyję. Trochę oczywiście w tym przesady, ale trzeba przyznać, że początkowy fragment ścieżki potrafi swą stromizną dostarczyć wiele mocnych wrażeń. Następnie przebrnęliśmy w bród Rosochę i koło drewnianego kościółka weszliśmy do Lubomierza. Łącznie straciliśmy 700 m wysokości. Nasz następny cel to Jasień. Czeka nas zatem 500 m podejścia. Uraczyliśmy się „Tymbarkiem” w sklepiku i żwawo ruszyliśmy dalej. Zaczęło się podejście, początkowo nawet dość strome. W sumie niby nic wielkiego, ale słonko stało w zenicie, toteż napój wypity w Lubomierzu zdążył już dawno odparować. Doszło do tego, że po kilkunastu minutach wypadałoby uzupełnić płyny. Ale na takim podejściu człowiekowi nie chce się zatrzymywać, toteż zacisnęliśmy suche gardła i w pocie czoła (dosłownie) dalej sobie kroczyliśmy w górę. Na szczęście panorama, w miarę zyskiwania wysokości, poszerzała się i Kudłoń, który z Lubomierza wydawał się być tak wielkim, teraz zaczął się stopniowo obniżać i tracić na swych rozmiarach. To nie żadna halucynacja. Po prostu byliśmy coraz wyżej.

Właśnie sobie pomyślałem, że jakoś wytrzymam i napiję się dopiero na Jasieniu. Nagle polna droga poczęła leciuchno skręcać w prawo, a po lewej z przodu poczęły się pojawiać małe krzaczki i zarośla. Doszedliśmy do pierwszych z nich i ukazała się rzecz... pomysłowa. Otóż z tych nieprześwietlających krzaczków, ktoś wyprowadził na zewnątrz, na drogę, metalową wylewkę, którą ochoczo płynęła sobie woda. Po wielkości strumyczka wywnioskowaliśmy, iż chyba metr wyżej musi być jakieś źródelko. Ale mi się nie chciało wyciągać kubka, toteż już zdążyłem się pogodzić z myślą, że owe źródelko zaraz minę. Lecz, gdy podszedłem bliżej, okazało się, że tuż obok wylewki wbity jest w ziemię drewniany kolek, a na nim, obrócony do góry dnem, plastikowy kubek. Radość wstąpiła we mnie ogromna i jako pierwszy chwyciłem za kubek. „Cóż za rozkoszna woda” – przemknęło mi, gdy ćwierć litra zimnej wody rozplynęło się po moim ciele. Tę samą lub zbliżoną myśl wyrazili moi towarzysze, którzy kończyli już dopijać ostatnie tyki wody.

Odłożyliśmy kubek na miejsce, w duchu podziękowaliśmy pomyslowej osobie, która stworzyła ten mini-bar dla wędrowców i z pełnymi brzuchami, ale za to z lekkimi sercami stanęliśmy już niedługo na Jasieniu. A ze szczytowej polany mogliśmy podziwiać dostojny, pokryty ogromną halą, wierzchołek Mogielnicy.

Mariusz Szatkowski

Bystrzyca Kłodzka to średniowieczne miasteczko położone nad Nysą Kłodzką, szczytując się jedną z najpiękniejszych panoram miejskich w Polsce. O jej urodzie decydują górujące nad miastem smukłe wieże kościoła, ratusza i fortyfikacji obronnych oraz wąskie, kręte uliczki przecinające kamienne mury, które niegdyś chroniły przed najeźdźcami.

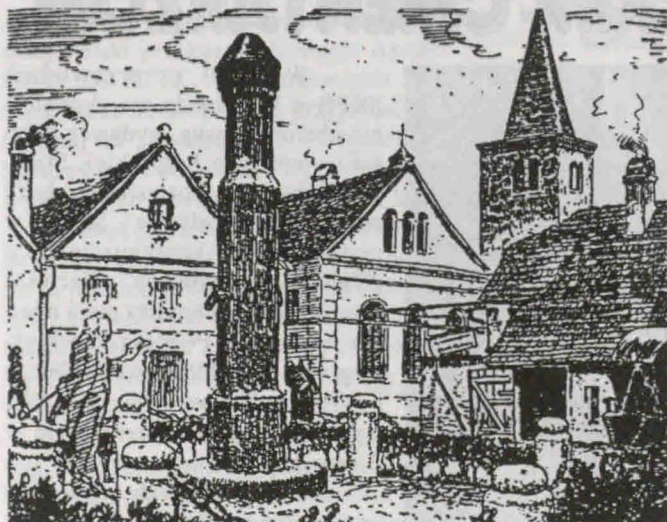
Bystrzyca pomimo dość burzliwej historii zachowała swój dawny wygląd i najcenniejsze zabytki. Jednym z osobliwszych jest stojący na Małym Rynku najlepiej zachowany w Polsce południowo-zachodniej kamienny

Niektóre z ówczesnych przestępstw otrzymałyby dzisiejszą nazwę chuligaństwa. Za chuligaństwa owe obcinano pod przęgierzem nosy, uszy, ręce, wykrzywiano i łamano palce, wypalano żelazem oczy lub wykłuwano je na zimno, za zbrodnie wreszcie wbijano w brzuch zaostrzony dębowy pal, ćwiartowano ciało lub zgniatano je na kole. Palenie na stosie było także częstym widowiskiem na rynku. Jedną z najcięższych kar, sądząc po dużym wynagrodzeniu kata (8 kóp zboża), było wleczenie skazańca po ziemi, zdzieranie pasów skóry, szczypanie gorącymi obcęgami i wreszcie spalenie na stosie.

pluć na skazanych, rzucać kamieniami lub wylewać na nich naczynia z cuchnącymi pomyjami oraz we wszelki sposób wyrażać im swoją pogardę.

Pręgierze – słupy hańby, znienawidzone przez ludność, po przeprowadzeniu na początku XIX w. reformy jurysdykcji, były masowo usuwane i likwidowane, tym bardziej cenne są te nieliczne zachowane. Około 1900 r. magistrat miasta Bystrzyca Kłodzkiej uznał wartość zabytkową średniowiecznego przęgierza, który otoczono ochronnym, kutym łańcuchem zawieszonym na wyciosanych z

DEVS IMPIOS PVNIT ~ BOG KARZE NIEGODZIWYCH



pręgierza, na którego głowicy odczytać można łacińską inskrypcję DEVS IMPIOS PVNIT, co znaczy „Bóg karze bezbożników” lub, jak kto woli, „niegodziwych”. Wykuta w piaskowcu, wysoka na około 3,5 m kolumna to niemy świadek średniowiecznego wymiaru sprawiedliwości.

Pierwszy, drewniany jeszcze przęgierz w Bystrzycy ustawiono na Dużym Rynku, obecnym pl. Wolności, przy zbiorniku wodnym koło ratusza. Po niedługim czasie, w 1475 r. podczas ogromnego pożaru miasta „słup hańby” spłonął. Jurysdykcja ówczesna potrzebowała jednakże nadal swego narzędzia kary. W 1556 r. w górnej części rynku posadowiono nowy, kamienny przęgierz. Gdy znany śląski rzeźbiarz Anton Jörg w 1736 r. wznosił przed kamieniczkami północno-zachodniej pierzei Dużego Rynku monumentalną kolumnę wotywną Trójcy Świętej, przęgierz przesunięto w pobliże odwachu przy ratuszu, a w 1813 r. przeniesiono ostatecznie na Mały Rynek, dawny Targ Bydłęcy. Tutaj długie lata wykorzystywany był do różnych celów, służył m.in. jako słup latarni. Kolejne daty „wędrówek” wyryte są u podstawy przęgierza i na pierścieniu: „1556 /transferirt 1736/1813”.

Średniowieczna sprawiedliwość była bardzo surowa, a wykonywanie wyroków okrutne. Kary polegały przede wszystkim na męczeniu i torturowaniu przez kata, któremu od 1683 r. przysługiwało stałe wynagrodzenie w naturaliach. Za wykonane egzekucje otrzymywał do 8 kóp zboża, zależnie od rodzaju tortur. Mieszkańcy miasta i okolicznych wsi karani byli za zbrodnie i przestępstwa, jak bijatyki, nożownictwo, rozbój na drogach, zabójstwa, opilstwo, przewziska i przekleństwa, oszczerstwa, kradzieże owoców i drewna, awantury uliczne, plotkarstwo i niemoralne prowadzenie się.

A oto kilka przykładów odzwierciedlających zbrodnie i surowe kanony prawa epoki: 30. 04.1564 r. przebito palem, a potem żywcem pogrzebano kobietę za to, że zamordowała swoje nowo narodzone dziecko, a ciało jego rzuciła do świniami na pożarcie, zaś 10.02. 1568 r. wykonano osobliwy wyrok śmierci na Stephanie Hansie, który poddany ciężkim torturom „przyznał” się do 37 morderstw. Kat szczypał go najpierw po całym ciele rozżarzonymi do czerwoności kleszczami, a następnie, po poćwiartowaniu, wszystkie jego członki powiesił na szubienicy miejskiej.

Bywały również „tylko” zwykłe kary śmierci, a drobniejsze przewinienia karano różnie. W 1571 r. dwie rozpustne kobiety wychłostano pod przęgierzem różgami, a potem wyrzucono z miasta na zawsze. Taki sam los spotkał w 1599 r. złodziejaska odzież.

Rozporządzeniem rady miejskiej Bystrzyca Kłodzkiej z 10.10. 1641 r. pod przęgierzem karano za łażikowanie po godz. 9 wieczorem, wycie, krzyki lub rozpustne śmiechy. Zarządzenie mówiło, że „żaden szanujący się radny ani zwierzchność duchowna ścierpieć nie może życia pasibrzuchów, hulaków, „świńskich żołądków” i wszelkiego rodzaju plugawstwa, które po zaukach czy narożnikach domów nocne kłusownictwo prowadzi swą nieposkromioną gębą kalumnii i przekleństwa paplając, a mocząc mordy przy piwie i winie pokątne obelgi uprawia”. Tymi dekretami ówczesna rada miejska usiłowała zaprowadzić spokój i porządek.

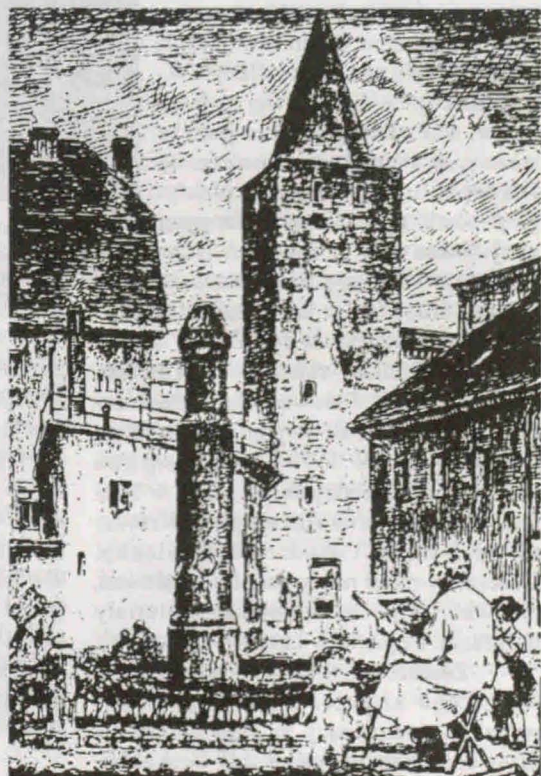
Władza duchowna miała tu także swój kodeks karny, w którym szczególną uwagę skierowano na tzw. „półświątek”. W 1621 r. nierzadkie bywały przypadki, że „przez dwie niedziele gach z gachową stali przed kościołem łańcuchami przywiązani do kamienia piekielnego”. Następnie klęczeli przed ołtarzem trzymając w jednej ręce płonącą świecę, a w drugiej różgę. Przyłapani na gorącym uczynku przez „inspektorów bojaźni bożej” musieli iść do spowiedzi i zaraz po tym do ślubu.

We wszystkich przypadkach gawiedz miała ten przywilej, że mogła

piaskowca słupach, współgrających kompozycyjnie i architektonicznie z pomnikiem przeszłości.

W połowie naszego stulecia stan techniczny bystrzyckiego starego miasta zaczął się gwałtownie pogarszać. Niszczenie zabytków, wzmożone przez nieregulowane wtedy ścieki i system podziemnych korytarzy w rejonie pl. Wolności oraz sąsiednich ulic, postępowało bardzo szybko. Na przełomie lat 60. i 70. rozpoczęto pierwsze prace zabezpieczające i konserwatorskie, które nie ominęły też i Małego Rynku będącego wówczas jeszcze placem targowym. Usunięto stojące wokół przęgierza stragany i przybudówki. Zerwano XIX-wieczny bruk wykonując nową nawierzchnię, wzniesiono tarasowate murki i ułożono schodkowe podejścia, a środek Małego Rynku pokryto piaskowcowymi płytami. Niestety, podczas tych wszystkich prac „upiększających” zlikwidowano otaczające przęgierz słupki z łańcuchami stanowiące, bądź co bądź, pewnego rodzaju zabezpieczenie tego średniowiecznego pomnika. Kamienne płyty przylegają bezpośrednio do cokołu przęgierza. Stoi on teraz samotnie niczym palec lub też tak, jak... (skojarzenia nasuwają się same patrzącemu na oryginalną formę tego „słupa hańby”).

Zbigniew Franczukowski



W miejscowości Wisłoczek koło Rymanowa Zdroju, w Beskidzie Niskim, w pierwszej połowie sierpnia 1997 r. odbył się kolejny, jedynasty obóz „Nadsanie 97”. Grupa dwudziestu młodych konserwatorów z Gdańska, Częstochowy, Rzeszowa, Białegoostoku i Warszawy pod kierunkiem Stanisława Krycińskiego odnawiała zniszczone nagrobki i krzyże na cmentarzach w Wisłoczku i Tarnawce. Ponadto oczyszczono tereny po cerkwiach, tzw. cerkwiska i zabezpieczono ruiny dzwonnicy przycerkiewnej w Wisłoczku.

ski, część Bieszczadów i Beskidu Sądeckiego. Niestety, zebrany materiał, jak dotąd, nie został uporządkowany i wydany. W prace opisowe w ramach działań studenckich Oddziałów Międzyuczelnianych włączyli się Tomasz Raczyk i Witold Grzesik. Owocem ich działań jest bardzo dobrze odbierany do dnia dzisiejszego przewodnik „Od Komańczy do Krempnej” (1987).

Lubelscy przewodnicy SKPB zaczęli inwentaryzować zapomniane i niszczone cmentarze z I wojny światowej znajdujące się na terenie Beskidu Niskie-

cił idei dokumentowania i ratowania wojennych cmentarzy.

Warto wiedzieć, że w 1996 r. w Dukli powstało Bractwo Opiekunów Cmentarzy Wojskowych. Stowarzyszenie to kultywuje działania nieformalnej grupy działającej na terenie Beskidu Niskiego w latach 1985-96. Bractwo chce zająć się opieką nad cmentarzami w rejonie Beskidu Dukielskiego. Pierwszym odnowionym obiektem jest cmentarz z I wojny światowej w Dukli. W działaniach tych szczególną aktywność wykazuje pracownik dukielskiego muzeum Sławomir Błażewicz.

NA RATUNEK KARPACKIM CMENTARZOM

Od 1987 r. na obozach w Beskidzie Niskim i Bieszczadach odrestaurowano łącznie czterdzieści cmentarzy łemkowskich i bojkowskich. Ostatni turnus konserwatorski z powodu kłopotów finansowych był szczególnie skromny. Komisja Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej, działająca przy Towarzystwie Opieki nad Zabytkami, nie przeznaczyła po raz pierwszy od wielu lat środków na obóz. Jedynie Towarzystwo Karpackie wsparło konserwatorów symboliczną sumą 500 zł. Pozwoliło to na zakup szcottek, pędzli i farb. Dlatego odnowiono dwadzieścia krzyży i nagrobków. Pozostałe cmentarze w Szklarach, Polanach Surowicznych, Surowicy, Darowie i Zawoju czekają na remont.

W połowie lat osiemdziesiątych w rejonie Lutowisk na trasach swoich bieszczadzkich wycieczek spotykałem dokumentujących i opisujących zanikające ślady kultury materialnej i duchowej tych terenów. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że zjawisko to rozrośnie się i da w przyszłości konkretne efekty. Aby mówić o początkach planowej akcji odnawiania cmentarzy w Beskidzie Niskim i Bieszczadach, należy cofnąć się w lata siedemdziesiąte.

Działające wtedy górskie środowiska studenckie, skupione wokół Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie, zorganizowały akcję „Łemkowyna”. W 1979 r. odbyły się dwa historyczne już obozy akcji „Opis” w Beskidzie Niskim, prowadzone przez Krzysztofa Kleszcza i Andrzeja Wielochę. Uczestnicy mieli nagrywać, fotografować, rysować i zbierać wszystkie materiały dotyczące Łemków i Łemkowszczyzny.

Zdaniem Krzysztofa Kleszcza, prowadzącego aż sześć obozów „Łemkowyna”, uczestniczący w nich kursanci i przewodnicy spenetrowali cały Beskid Ni-



Od 1987 r. na obozach konserwatorskich akcji „Nadsanie” wyremontowano 40 cmentarzy w Bieszczadach i Beskidzie Niskim

go i Pogórza. Akcją tą kierował Ryszard Montusiewicz. Działania te dały początek dalszemu zainteresowaniu tym tematem. Dowodem są konkretne prace renowacyjne na licznych cmentarzach z I wojny światowej, głównie w woj. tarnowskim, gdzie obecne władze konserwatorskie są przychylnie tego typu działaniom. W woj. krośnieńskim, w Beskidzie Niskim, odremontowano m.in. cmentarz nr 6 w Krempnej (1991) i nr 4 w Grabiu (1995). Powstało kilka pozycji książkowych, wśród których wybijają się prace Romana Frodymy („Galicyjskie cmentarze wojenne”, t. 1, Warszawa 1995 i t. 2, Warszawa 1997), który większą część życia poświę-

W 1980 r. przewodnik SKPB w Warszawie, z wykształcenia chemik, znany wydawca książek o tematyce karpackiej, Stanisław Kryciński, rozpoczyna obozy pod hasłem „Nadsanie”. Są one w pewnej mierze kontynuacją akcji „Opis”- „Łemkowyna”. Pierwsze dwutygodniowe turnusy mają miejsce na terenie Pogórza Przemyskiego, np. w 1980 r. okolice Birczy i w 1981 r. Tyrawy Wołoskiej. Następnie Kryciński przenosi się w Bieszczady.

Obozy odbywały się w pierwszej połowie września. Uczestnicy przez dwa tygodnie nocowali w namiotach, często zmieniając miejsca biwaków. Praca na tych obozach polegała na odszukiwaniu starych, zniszczonych cmentarzy, miejsc po cerkwiach, dworach, śladach dawnej zabudowy i docieraniu do dawnego, autentycznego nazewnictwa. Opracowywano i opisywano przy pomocy wywiadów, ankiet i starych map miejscowość po miejscowości. Docierano do nielicznych, żyjących jeszcze starych mieszkańców tych gór, którym udało się uniknąć wysiedleń w czasie akcji „Wisła” lub tych, którzy powrócili.

W ramach „Nadsania” w latach 1980-86 prowadzono głównie prace inwentaryzacyjne. Odszukano dużą liczbę niszczonej cmentarzy. Stanisław Kryciński wspomina, że działania te natchnęły go do podjęcia konkretnych prac. W międzyczasie wstąpił do TONZ i pracował w Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej, prowadzonej przez Bogdana Martyniuka. Głównym zadaniem tej komisji było ratowanie cerkwi, dzwonnicy i krzyży przydrożnych. Remonty cerkwi pozostawały niestety poza jej możliwościami. Zdobywano jednak środki, za które specjalistyczne ekipy wykonywały remonty.

Natomiast odnawianie cmentarzy było znacznie prostszym zajęciem. Kryciński przekwalifikował w 1987 r. kolejny obóz na turnus konserwatorski. Od początku pojawili się na nim ludzie związani zawodowo z konserwacją, np. z warszawskiej ASP, z Wydziału Konserwacji Kamienia. Prace te nadzorował Janusz Smaza. Sam organizator obozów, pracował zarazem w pracowniach konserwacji zabytków przysposabiając się do czekających go prac renowacyjnych na karpaczkich cmentarzach.

Na pierwszym obozie remontowano cmentarze w Bystrem, Michniowcu i Chmielu. Środki na utrzymanie piętnastoosobowej grupy konserwatorów z całej Polski przekazała Komisja Akademicka ZG PTTK. Problemem była zbyt duża liczba 51 osób, które przyjechały do Czarnej na „Nadsanie 87”. Organizator poradził sobie doskonale, wysyłając część z przybyłych Zbyszkowi Kaszubie, który remontował cerkiew w Łopience koło Cisnej. Połamane krzyże piaskowcowe łączono za pomocą dybli mosiężnych i klejono żywicą. Natomiast krzyże żeliwne czyszczono szczotkami i malowano czarną farbą. Zniszczone elementy żeliwne łączono za pomocą śrub i płaskowników.

Stosunek służb konserwatorskich woj. krośnieńskiego do tych prac był mało przychylny. Panowała atmosfera obojętności. Nie udało się uzyskać wsparcia finansowego.

I tak, co roku w Bieszczadach „nadszańcy” podnosili z ziemi i remontowali krzyże cmentarne i przydrożne. Wykonano ogrom prac, borykając się z pogodą, środkami i ludźmi. Niech świadectwem tych poczynań będą m.in. cmentarze w Wołosatem, Siankach, Beniowej, Berehach Górnych czy Chmielu...

Po dziewięciu latach pracy w Bieszczadach, w sierpniu 1996 r. akcja obozów przeniosła się w Beskid Niski do Królika Wołoskiego i Deszna. Wszystko to stało się dzięki przychylności Krzysztofa Smereckiego, radnego gminy Rymanów i naczelnika Urzędu Rejonowego w Krośnie. Zapropozował on zajęcie się renowacją cmentarzy łemkowskich w gm. Rymanów. Kryciński spotkał się z dużą przychylnością władz gminnych, którym zależy na wyremontowaniu opuszczonych cmentarzy. W Króliku Wołoskim zdołano podnieść z ziemi i posklejać 35 nagrobków, które były niszczone w latach pięćdziesiątych.

Nasuwa się pytanie, kto niszczył te cmentarze? Np. w miejscowości Długie w Beskidzie Niskim, w trakcie wypasów owiec podhalańscy górale porozbijali i wyrócili dwanaście krzyży. W ramach działań TOnZ wyremontowano je, lecz



W wysiedlonych i opuszczonych dolinach na Łemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie kapliczki i krzyże cmentarne są jedynym świadectwem dawnego życia

wspomniani już górale na nowo zniszczyli krzyże. Czyżby uczynili to w szeroko rozumianej obronie wiary rzymskokatolickiej, która na Podhalu jest tak mocno zakorzeniona?

Początkiem sierpnia br., w trakcie pobytu w Wisłoczku odwiedziłem „nadszańców” remontujących miejscowy, zniszczony łemkowski cmentarz. W 1946 r. Wisłoczan deportowano do ZSRR. Od 1970 r. mieszkają tu polscy osadnicy z Zaolzia – Zielonoświątkowcy, którzy wspólnie z mieszkańcami Puław i Woli Piotrowej tworzą Protestantką Wspólnotę Regionu Bieszczadzkiego – Kościół Zielonoświątkowy.

Uczestnicy obozu zajęli się oczyszczeniem cerkwiska, na którym nie odnaleziono krzyży cerkiewnych i ruin dzwonnicy. Dźwignęli z ziemi dwanaście nagrobków i porozbijanych krzyży. Spali we własnych namiotach i odżywiali się na własny koszt. Po zakończeniu prac przeniesiono obóz do nieistniejącej wioski Tamawka, która była siedzibą greckokatolickiej parafii. W jej skład wchodziła Rudawka Rymanowska, Wisłoczek i Zawoje. Odrestaurowano tu dziesięć nagrobków na pozarastanym cmentarzu.

Wspomina Sebastian Wójcik, student architektury z Gdańska, uczestnik obozu: „... Na „Nadsaniu” jestem po raz drugi. Pracując w Wisłoczku czuję się potrzebny i wiem, że moja praca nie pójdzie na marne. Cmentarze, które remontujemy, są jedynym świadectwem po mieszkających tu Łemkach. Pobyt w tych górach daje mi dużo satysfakcji i jest też sposobem na spędzenie wakacji...”

Większość nagrobków w Wisłoczku pochodzi z 2 poł. XIX w. Były one wykonywane w ośrodku kamieniarskim w Posadzie Jaśliskiej i być może w Klimkówce. Wyroby z Klimkówki są charakterystyczne poprzez swoją archaiczność. Są to figury tchnące pradawnym okresem.

Dlatego kapliczki i nagrobki, pochodzące z tej miejscowości, wyraźnie się odróżniają. Obecnie cmentarz wykorzystywany jest przez współczesnych mieszkańców osady. Są oni zainteresowani odnowieniem dzwonnicy, która może stać się atrakcją turystyczną. W trakcie prac bardzo poprawnie układały się kontakty pomiędzy obozowiczami a społecznością Wisłoczka, która jest przychylnie nastawiona i otwarta dla innych.

Zdaniem Marty Kulig, uczennicy Liceum Ogólnokształcącego w Czestochowie: „... Praca jest tu ciężka, nieraz fizyczna. Podnosimy porozbijane nagrobki i kleimy je epidiamem. Pobyt na obozie daje mi dużo satysfakcji, ponieważ interesuję się zabytkami, które mogę odnawiać. Poznałam też ludzi wrażliwych na piękno i krzywdę. Dzięki obozom konserwatorskim łagodzimy tragiczną historię. Jesteśmy przecież już drugim pokoleniem...”

W 1997 r. minęła pięćdziesiąta rocznica akcji „Wisła”. W związku z tym odbyły się liczne uroczystości, sesje i spotkania poświęcone deportacji ludności łemkowskiej i ukraińskiej po II wojnie światowej z terenu Polski południowo-wschodniej. Niestety, wydaje mi się, że w trakcie obchodów rozmawiano za mało na temat niszczących w większości cmentarzy karpaczkich. W opuszczonych, wysiedlonych dolinach na Łemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie cmentarze i krzyże przydrożne są jedynym świadectwem dawnego życia. Dlatego prace konserwatorskie obozów „Nadsanie”, wykonywane polskimi rękami, przyczyniają się do lepszego zbliżenia polsko-łemkowsko-ukraińskiego.

Opuszczając Wisłoczek byłem bardzo podbudowany. Zobaczyłem i poznałem w tych górach ludzi pragnących zrobić coś lepszego. Czy im się to udaje? Myślę, że tak.

Tekst i zdjęcia Robert Kubit

JEŚLI TAM BĘDZIECIE (październik)

● „Cygańska jesień” w Muzeum Etnograficznym. Tarnów. Tel. (0-14) 220625. ● Festiwal im. J. Kiepury. Krynica (woj. nowosądeckie). Tel. (0-187) 15648 ● Dekada Muzyki Organowej, Chóralnej i Kameralnej. Cieszyn (woj. bielskie). Tradycyjna impreza w kalendarzu kulturalnym Cieszyna, rokrocznie zapewnia melomanom po obu stronach Olzy prawdziwe muzyczne atrakcje. Sale koncertowe i wnętrza kościołów różnych wyznań wypełni muzyka w wykonaniu znakomitych polskich i zagranicznych wokalistów, chórów i orkiestr kameralnych. Tel. (0-33) 5107. ● V Dni Muzyki Dawnej. Żywiec – Zamek (woj. bielskie). Koncerty najlepszych polskich zespołów muzyki dawnej, soliści, warsztaty dla młodzieży szkół muzycznych. Żywiec. Tel. (0-33) 614332. ● XIII „Babiogórska Jesień”. Zawoja (woj. bielskie). Prezentacja górskich zwyczajów i obrzędów pasterskich z terenu Beskidów i Podhala z udziałem

Entuzjastów trampingu i trekkingu zapraszamy do wzięcia udziału w wyprawie

KILIMANDŻARO '98

w lutym i marcu 1998. Czas trwania 35 dni.
Całkowity koszt około 2500 USD.

Szczegółowych informacji udziela organizator:



Everest Agencja Trekkingowa,
ul. Tulipanów 4, 45-219 Opole
Tel. (0-77) 577724 (po godz. 18.00)

zaprozonych zagranicznych zespołów folklorystycznych. Tel. Zawoja 66. ● Złaz turystyczny z okazji jubileuszu 75-lecia istnienia schroniska PTT – PTTK na Stożku w Beskidzie Śląskim, 5.10.97 r. Tel./fax (Cieszyn) 521-186. ● Jeleniogórskie Spotkania Teatralne. Jelenia Góra. Tel. (0-

74) 7423474. ● Rajd Sudecki „Trial”. Szklarska Poręba, tel. (0-74) 172449. ● Puchar Karpacza w biegu na orientację. Karpacz. Tel. (0-74) 19568. ● Rajd Jaspisowy Szlakami Ciekawostek Geologicznych Okolic Wlenia.

A MOŻE W DOLOMITY?

We wrześniu 1995 roku, w grupie trzech osób spędziłem dwanaście dni na ciekawej „wyprawie” w Dolomitach. Góry te są jeszcze mało uczęszczane w okresie lata przez naszych turystów. Zatem kilka uwag i spostrzeżeń może zainteresować czytelników „Na szlaku”.

Dolomity stanowią część Alp położoną we włoskim Tyrolu między rzekami Piawą a Adygą, a zbudowane są z wapieni i dolomitów. Najwyższy szczyt to Marmolada (3342 m). Dojazd z Wrocławia do punktu wyjścia na wybraną trasę trwa niewiele więcej niż w Bieszczadach. Dla nie dysponujących własnym środkiem transportu – jedzie się autobusem do Monachium lub Wenecji, a dalej koleją. Nasza grupa pojechała przez Monachium. Podróż trwała 18 godzin, koszty, jak dla nas, są wysokie, ale dojazd wygodny i mający dobre połączenia.

W Dolomitach istnieje gęsta sieć szlaków turystycznych doskonale znakowanych paskami biało-czerwonymi, co nam nie ułatwiało orientacji (u nas różne kolory szlaków). Każda trasa jest numerowana, numery są nadawane od miejsca do miejsca na szlakach, w terenie. Niezbędne jest posiadanie map – najlepsze Kompass w skali 1:50 000, łącznie z odpowiednim słowniczkiem nazw i opisem krajoznawczym w języku włoskim i niemieckim.

Przez Dolomity z północy na południe przeprowadzono cztery trasy, kombinacje (ciąg) poszczególnych odcinków zwykłych szlaków turystycznych. Są one nazwane po niemiecku *Dolomiten Hohenwege* lub po włosku *Alta via delle Dolomiti*. Trasy łączą poszczególne schroniska, przy czym czas przejścia wynosi 4 – 9 godz. Wytyczone są one przez najładniejsze i najciekawsze grupy gór i są godne polecenia dla uprawiających turystykę górską. My wybraliśmy trasę 2, z dojazdem koleją do Bressanone (Brixen) i dojściem na przełęcz Halsl (1866 m). W planie było przejście 2/3 długości, ale udało się przejść prawie połowę (około 45 km) od punktu wyjścia na poziom 300 m do przeł. Marmolada (2910 m). Trasa prowadziła przez ciekawe grupy górskie Gruppo Sass de Putia (Peitlerkofel), Puez Odle

(Puez), Gruppo di Sella (Sella) oraz Marmolada. Przechodziliśmy przełęcz Gardena (światne tereny narciarskie) i Pordoi. Nocowaliśmy w schroniskach Genova (2301 m), Puez (2475 m), Pisciadu (2583 m), Boe (2873 m) oraz im. Ettore Castilioni (2044 m) u podnóża lodowca Marmolada. W przedostatnim dniu „wyprawy” dotarliśmy na przeł. Marmolada, jednak wejście na szczyt było możliwe tylko przy zastosowaniu odpowiedniego sprzętu (raki, czekany), czym niestety nie dysponowaliśmy.

Dolomity to niezwykle malownicze góry – oczywiście przy pogodzie, szczególnie w promieniach wschodzącego czy zachodzącego słońca. Bogactwo oznakowanych podejść i tras umożliwia ich

dowolny wybór. Warto przed podjęciem decyzji wyjazdu zapoznać się z pięknym wydawnictwem „Dolomity” (Geo-Graf Katowice) i oczywiście mapą danego odcinka (Kompass – mapy turystyczne, przede wszystkim nr 54-59).

Bogactwo znakowanych szlaków i duża ilość tras ubezpieczonych, tzw. *Via ferrata*, zachęca. Są one podzielone na łatwe, dość trudne, trudne i bardzo trudne. Łatwe porównać można do naszego szlaku na Rysy, średnio trudne do naszej Orlej Perci. Wyższe stopnie są raczej nie dla zwykłych turystów, taternicze i dla ograniczenia ryzyka zalecane jako dostępne z odpowiednim sprzętem wspinaczkowym.

Turystę z Polski szokują schroniska, ich stan, umiejscowienie, kultura obsługi i uczestników turystyki. Dla nas poziom nie do osiągnięcia jeszcze przez długie lata. Większość bardzo licznych schronisk należy do Klubu Alpinistów Włoskich (Club Alpino Italiano CAI). Istnieją też schroniska prywatne. Obiekty CAI są czynne do końca września, w dolinach cały rok. Ceny schronisk CAI są jednolite: 22 000 lirów w salach zbiorowych. Członek towarzystwa alpinistycznego może otrzymać 50% zniżki. Konieczne jest posiadanie własnego śpiworu przy raczej jednodniowym pobycie w schronisku.

Dla nas ceny posiłków w schroniskach są wysokie. Wynika to z faktu, że wiele z nich zaopatrywane jest przez śmigłowce z powodu braku możliwości dotarcia tam samochodem. Turysta ma możliwość otrzymania posiłku w godzinach rannych (śniadanie) oraz wieczornych (po 18 dania obiadowe). Oczywiście, bufet z napojami jest czynny przez cały dzień. Na czas wędrówki dobrze jest zaopatrzyć się w „żelazny” zapas prowiantu nie tylko na dojazd do punktu wyjścia ale i powrót do Wrocławia.

Koszty dwutygodniowego pobytu w Dolomitach, bez kosztów dojazdów, zamknąć można w granicach 500 000 lirów, w tym nawet doby pobytu w hotelu w miejscowości na trasie w sytuacji awaryjnej (np. zła pogoda). Góry te poprzecinane są siecią doskonałych dróg. Istnieje doskonała komunikacja autobusowa linii lokalnych, umożliwiająca szybki dojazd do punktu wyjścia na trasę, co ważne bywa z uwagi na męczące podejścia do przeszło 1000 m, no i ciężki plecak.



Na tarasie schroniska Pisciadu (2583 m)

Stanisław Cetnarowicz

PRZEŁĘCZ GŁUCHACZKI (830 m)

Przełęcz Głuchaczki to nazwa głębokiego obniżenia w granicznym (ze Słowacją) paśmie Babiogórskim Beskidu Żywieckiego oraz osiedla o tej samej nazwie należącego do gminy w Koszarawie, a administracyjnie do wsi Przyborów. Przełęcz rozdziela potężny masyw Mędralowej (1170 m) na północnym wschodzie od Jaworzyny (1047 m) na zachodzie.

pominięciem całego masywu Mędralowej. Dzisiaj pomimo wyasfaltowanej drogi w dolinie Polhoranki nasi turyści oglądają ją z bliska schodząc stokami Jaworzyny (1047 m) ku Głuchaczkom, nie bez irytacji, gdyż muszą obchodzić się „smakiem” kontynuując drogę ku Babiej Górze stromym podejściem na Mędralową. Gdy po dalszej około 1,5 godzinie marszu wrócą niemal w to samo miejsce (tylko za obszer-

KARPACKIE PRZEŁĘCZE (29)

Kilkaset metrów za przełęczą i granicą polsko-słowacką przebiega lokalna asfaltowa droga doliną potoku Polhoranka ze słowackiej Orawskiej Polhory w jego rejon źródłiskowy, tuż pod naszą Przełęczą Jałowiecką (1017 m). Z drugiej strony grzbietu, a nieco poniżej ładnej śródleśnej polany Głuchaczek, bierze początek dopływ rzeki Koszarawy – Przybyłka.

Sama polana z korzystnie usytuowanym źródłem jest corocznie i już zwyczajowo miejscem funkcjonowania bazy namiotowej Oddziału Międzyuczelnianego PTTK w Katowicach, która to baza cieszy się dużym wzięciem jako jedyny rozsądny punkt na nocleg w długiej wędrówce pomiędzy Piłskiem (1557 m) a Babią Górą (1725 m), a szczególnie w drodze z Hali Miziowej do Markowych Szczawin.

Przez wiele lat trwały całkowicie bezskuteczne starania o wybudowanie na Głuchaczkach jednej z baczek PTTK. Sam brałem udział w kilku komisjach i wizjach terenowych z udziałem przedstawicieli KTG ZG PTTK, byłego ZW PTTK w Bielsku-Białej, Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego z Bielska-Białej oraz władz gminy w Koszarawie.

Czy Głuchaczki mają pecha tylko do baczki? Otóż nie tylko. W latach trzydziestych liberalne przepisy ze Słowacją umożliwiały przekraczanie w Głuchaczkach granicy celem wydatnego skrócenia drogi na Przełęcz Jałowiecką, a z

nym zakolem linii granicznej), słowacki drogowcaż żółtego szlaku na Przełęczą Jałowieckiej informuje: Głuchaczki 3/4 godz.

Od Głuchaczek jest całkiem niedaleko do czarnego szlaku Korbielów – Hala Kamińskiego (około 20 min.), a nieco dalej tymże szlakiem do uroczego przysiółka Przyborowa – Moczarek, na stoku zachodnim Mędralowej (około 1,15 godz.). Na Moczarkach przez wiele lat miłośnicy Beskidu Żywieckiego mogli nocować w sympatycznej i wielce kameralnej stacji turystycznej PTTK, po której pozostało jedynie wspomnienie.

Wymieniony czarny szlak to natomiast jedno z mniej wesołych wspomnień stalinowskich lat pięćdziesiątych, gdy obostrzenia graniczne powodowały okresowe zakazy wędrówek Głównym Szlakiem Beskidzkim, podobnie zresztą jak między Zwardoniem, Przegibkiem i Wielką Rycerzową oraz pomiędzy Halą Rysiańką a Halą Miziową.

Przez samą Przełęcz Głuchaczki prowadzi oczywiście Główny Szlak Beskidzki (czerwony) z Hali Miziowej na Markowe Szczawiny i dalej na babiogórski Diablak.

Malownicze te Głuchaczki. Można tu jeszcze zadumać się nad nieskażonym pięknem przyrody, tak kontrastującym z coraz bardziej hałaśliwą cywilizacją.

Andrzej Matuszczyk



Przełęcz Sucha w Paśmie Lubomira i Łysiny w Beskidzie Średnim. Foto: Krzysztof Wojtasiński

POLSKA-SŁOWACJA - PRZEJŚCIA GRANICZNE

Bardzo proszę o przedstawienie się czytelnikom mieszkającym „Na szlaku”.

– Nazywam się Wiesław Zubik, jestem pełnomocnikiem wojewody krośnieńskiego do spraw przejść granicznych.

Krótko mówiąc, od Pana zależy rozwój zarówno ilościowy, jak również jakościowy przejść na odcinku granicy polsko-słowackiej leżącym w woj. krośnieńskim, czy tak jest rzeczywiście?

– Tak jest rzeczywiście, chociaż również pod moim nadzorem jest odcinek granicy polsko-ukraińskiej, leżący na terenie woj. krośnieńskiego.

Proszę bardziej szczegółowo omówić zadania.

– Do zadań Pełnomocnika Wojewody ds. Przejść Granicznych należy:

a) inicjowanie i podejmowanie przedsięwzięć organizacyjnych w celu zapewnienia prawidłowego funkcjonowania przejść granicznych,

b) dokonywanie analiz i ocen w zakresie funkcjonowania przejść granicznych,

c) reprezentowanie wojewody w sprawach dotyczących funkcjonowania przejść granicznych w kontaktach z organami administracji państwowej, przedsiębiorstwami, samorządem terytorialnym i innymi jednostkami.

Proszę powiedzieć, jak długi odcinek granicy polsko-słowackiej leży w woj. krośnieńskim?

Krośnieńskie graniczy ze Słowacją na odcinku 135 km, od Kremenarosa (1221 m) w Bieszczadach do Dębiego Wierchu (664 m) w Beskidzie Niskim.

Proszę wymienić przejścia graniczne, jakie aktualnie funkcjonują na granicy ze Słowacją?

– Aktualnie funkcjonuje jedno ogólnodostępne międzynarodowe przejście drogowe Barwinek – Vyšný Komarník. Funkcjonuje również jedno kolejowe przejście graniczne dla ruchu towarowego. Jest to przejście Łupków – Medzelaborce.

Teraz proszę powiedzieć, jakie nowe przejścia będą otwierane w najbliższym czasie?

– Planuje się otwarcie dwóch przejść w ramach tzw. małego ruchu granicznego:

a) Radoszyce (k. Komańczy) – Palota

b) Ozenna – Niżna Polanka.

Przejście Radoszyce – Palota ma się stać w 1999 roku międzynarodowym przejściem drogowym.

Turystów pieszych interesuje możliwość przejścia na Słowację, w górach, gdzie można tylko dojść na piechotę. Co planuje się w tym zakresie?

– Strona polska przesłała stronie słowackiej projekt załącznika (nr 3) do umowy o przejściach granicznych, przejściach na szlakach turystycznych, przecinających granicę państwową oraz zasadach przekraczania granicy poza czynnymi przejściami granicznymi.

Na granicy polsko-słowackiej proponuje się 26 przejść turystycznych, w tym 4 w woj. krośnieńskim, z czego 3 w Bieszczadach i 1 w Beskidzie Niskim.

Zalóżmy, że będą uruchomione przejścia dla turystów pieszych na granicy ze Słowacją. Można zapytać:

a) czy turysta polski po przekroczeniu granicy musi wrócić przez to samo przejście?

b) czy będzie musiał wrócić w tym samym dniu?

– Proponuje się, aby turyści mogli wrócić do kraju przez dowolne przejście graniczne na szlakach turystycznych, czy też przez dowolne ogólnodostępne przejście. Nie przewiduje się również ograniczeń co do czasu powrotu, czyli nie trzeba będzie wracać w tym samym dniu.

Na koniec pytanie dotyczące Ukrainy. Czy można już w tej chwili mówić na temat otwarcia granicy z Ukrainą. Turyści marzą, by przejść granicę w Beniowej lub Siankach, po czym dalej wędrować na Pikuj. Czy są to tylko marzenia?

Odpowiem krótko. W tej chwili są to tylko marzenia.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Stanisław Polański

*Nie chciałabym zmarnować życia,
wołę je narażać.*

Wanda Rutkiewicz

Pomysł wyjazdu w Alpy zaskoczył nas samych odwagą. Od wielu lat szokujemy siebie pomysłami na wyjazdy w góry, ale zawsze były to góry Polski, Czech lub Słowacji. A tu nagle pada

nie w drugim. Po przybyciu do granicznego Rosenbach drugi wagon pozostaje w Austrii, gdyż tylko pierwszy jedzie dalej. Na szczęście za 2,5 godz. mamy następny pociąg. Wykorzystujemy czas na przygotowanie śniadania i zaparzenie porannej kawy przy pomocy targanej w plecaku kilogramowej butli gazu. Mamy dostatecznie dużo czasu, aby podziwiać malownicze

chwycy nas coraz bardziej. Każdy krok wyżej pozwala dostrzec więcej i więcej. Nie czuje się ciężaru plecaka i stromizny. Ścieżka jest miejscami zabezpieczona stalowymi linami lub klamrami, co czyni ją dość bezpieczną. Wreszcie osiągamy górna krawędź, rozkoszujemy się widokami i czokoladą.

Jesteśmy szczęśliwi tak, jak mogą

ALPY PO RAZ PIERWSZY

słowo „Alpy”. Słowo, na dźwięk którego dreszcz przebiega po plecach, na których plecak nie jest widokiem niezwykłym lub rzadkim. Mimo różnorodnych wariantów włóczęgi po Tatrach czy sylwestrowego wejścia na Babią Górę w ekstremalnych warunkach, nie marzyliśmy nigdy o innych górach. Jakoś wystarczały nam dla zaspokojenia naszych ambicji, wzruszeń i wrażeń pobliskie szczyty i doliny.

Aż do chwili, gdy nie wiadomo skąd, padło hasło trafiające na podatny grunt. Zrodzone nie przez rozum, ale wpływające z głębin podświadomości, gdzie zapewne pęczniało, oczekując na swoją chwilę, chwilę sławy lub zniszczenia. Takie odczucia nie dopuszczają odpowiedzi na pytanie typu: Po co wam to ryzyko? Odpowiedzi udziela się tutaj na dole w zupełnie innych warunkach, w zupełnie innej rzeczywistości lub fikcji, gdzie zaciera się granica. Wspominamy przeżycia, gdy są one już historią, gdy całe przeżyte bogactwo to obrazy i wiele westchnień, które tkwią głęboko we wrażliwej duszy człowieka kochającego góry.

Na początku września 1996 r. wyjeżdżamy do Wiednia pociągiem pospiesznym „Chopin”, tym samym, do którego przez lata dopinano wagon wywozący emigrujących z ZSRR Żydów, konwojowanych przez pracowników bezpieki. Przybysze ci całowali płyty peronu wiedeńskiego dworca południowego, gdyż był to ich pierwszy kontakt z Wolnością. My, oczywiście, nie powtarzamy tych czynności.

Ocierając się o historię i rzeczywistość pojawiają się na dworcu zachodnim, skąd odjeżdżamy do Salzburga. Tam składamy pokłon Mozartowi, który tu przyszedł na świat, w tym pięknym mieście, gdzie budowle baroku kontrastują z naturą w postaci wysokich gór. Stąd kierujemy się w stronę Villach, gdzie zamierzamy wjechać do Słowenii tunelem pod Karawankami. Plan realizujemy, choć nie odbywa się to bez przeszkód. Pociąg do Słowenii składa się z dwóch wagoników motorowych, a my zajmujemy miejsca wła-

scie, Karawanki, lecz w wyobraźni widzimy przede wszystkim Triglav (2864 m) w Alpach Julijskich, który jest naszym celem.

Po przyjeździe do granicznej stacji Jesenice wymieniamy w kantorze na dworcu austriackie szylingi na słoweńskie tołary, gdzie 100 tolarów (SIT) to ok. 2.00 zł. Już bez dalszych przygód zajmujemy miejsce w pociągu w kierunku Bohinjskiego Jeziora. Stamtąd autobusem, w strugach ulewnego deszczu, docieramy do miejscowości Ukanc. Po drodze stwierdzamy, że miły dla ucha język słoweński jest stosunkowo dobrze zrozumiały i porozumienie się z życzliwymi mieszkańcami nie stwarza większych problemów.

Przepakowujemy plecaki i wkładamy górskie buty, rozglądając się po okolicy, gdzie powoli przeciera się i dostrzegamy w dość bliskim otoczeniu wyłaniające się z mgieł i chmur zerwy skalne po drugiej stronie niezbyt odległego brzegu jeziora. Mimo niesprzyjającej pogody jesteśmy radośni.

Próbujemy zorientować się w oznaczeniu szlaków, jest nieszczególnie – ot, gdzieś tam pacnięta czerwona krecha. Wybieramy właściwy kierunek i dochodzimy do drogi, która prowadzi nas do schroniska „Koča przy Savici”. Stamtąd podchodzimy w kierunku ściany Komarnicy – około 700 m przewyższenia. Ściana wygląda niedostępnie i groźnie. Nie zawsze trafiamy na właściwy żleb, którym prowadzi szlak w tej rozległej ścianie. Szybko nabieramy wysokości. Chwilami pada deszcz. Przewalające się chmury odsłaniają coraz to nowe partie gór, słońce oświetla kłębiące się opary, nadając obrazom tajemniczy wygląd. Urok miejsca za-

być szczęśliwi ludzie, którzy poszukując wrażeń znajdują je. Mało tego. Rzeczywistość przerasta wyobrażenia o pięknie i spokoju. Cisza. Świat kusi i zachwyca. Życie nabiera sensu. Wartością jest to, co widzą oczy i co czuje dusza.

A więc tak wyglądają Alpy!

Idziemy w kierunku Doliny Siedmiu Triglavskich Jezior. Trakt jest wyraźnie wydeptany i oznaczony, przez górny las doprowadza nas ponad swoje granice. Na wysokości 1685 m wyłania się schronisko – solidna piętrowa, kamienno-drewniana budowla, całkiem jak nasze tatrzańskie schroniska. Mimo, że w plecaku nieśliemy stary, wysłużony namiot (dwudziestoletnie Gorce-2 bez tropiku, którego jedyną zaletą jest półtorakilogramowy ciężar), ze względu na niską temperaturę decydujemy się na nocleg pod dachem.



Na szczycie Triglavu (2864 m). Od lewej H. Krupa i S. Plechota

Koszt noclegu to równowartość 21,60 zł – dokładnie 1080 SIT. W schroniskowym barze, ze względu na ceny, raczymy się tylko doskonałą, gorącą herbatą ziołową. W korytarzu, przy wejściu do schroniska, stoi komoda, a w niej lekkie klapki, różnego rodzaju i rozmiaru, obowiązujące na terenie schroniska. Własne buty odstawiamy na półkę, zaś sądząc po jej zawartości jest nas tu około 15 osób. W budynku obowiązuje bezwzględny zakaz używania ognia. Jako wytrawni kucharze i organizatorzy przygotowujemy gorący posiłek znajdując lukę pomiędzy zakazem używania ognia wewnątrz a prężnym zębem na zewnątrz schroniska. No cóż, Polak potrafi. Po posiłku szybko padamy na łóżka w sali zbiorowej, otuleni pościelą jednorazowego użytku.

Lecz oto następuje poranek, sympatyczny i słoneczny, choć zimny, zachęcając nas do aktywności. Turystów niewiele. Przeważają ci mówiący po niemiecku, chyba Austriacy. Przy śniadaniu czytamy, że schronisko jest czynne okresowo, pomiędzy końcem czerwca a początkiem października.

Po śniadaniu, tym razem na zewnątrz przy temperaturze około 0°C pędzimy dla rozgrzewki w górę. Wokół pusto, a zieleń kontrastuje z bielą ścian skalnych. Ogromne przestrzenie, cisza, miejscami zakłócana świstem niewidocznych świstaków, nadają tym obrazom pewnego dostojności. Jakaś wewnętrzna siła pcha nas coraz wyżej i wyżej, coraz dalej od ludzi i w większą ciszę.

Na nielicznych rozdrożach szlaków umieszczono tablice ze wskazaniem kierunku marszu. Takie tyczki są z daleka widoczne w pojawiającym się krajobrazie księżycowych zapadłisk i rumowisk skalnych, gdzie nie bardzo chciałoby się znaleźć przy złej widoczności. Dochodzimy do przełęczy Hribarice, znajdującej się na wysokości 2358 m. Stąd po raz pierwszy bezpośrednio dostrzegamy cel naszej wędrówki – majestatyczny i wyraźnie górujący nad okolicą Triglav. Oddzielają go od nas strome zejścia i podejścia, przy dobrej pogodzie, jaką właśnie mamy, raczej bezpieczne. Rozpoczynamy schodzenie, a naszym poczynaniom przyglądają się liczne kozice.

Dopiero po dwóch godzinach wędrówki spotykamy pierwszych turystów, dwóch Słoweńców, chyba ojciec z synem. Krótka wymiana wrażeń, krótki odpocznik i stwierdzamy, że kawał drogi za nami. Dochodzimy do kolejnego schroniska – „Dom Planika”, położony na wysokości 2401 m u stóp Małego Triglavu. Rozkoszujemy się wspaniałą herbatą i takimiż

widokami. Ze względu na stosunkowo późną porę, jest prawie czternasta, wybieramy najkrótszy szlak w kierunku szczytu, przez przełęcz Triglavską. Po dojściu do bardzo stromej ściany dostrzegamy maźnięcia pędzla na ścianie, kilka żelaznych stopni i oto pniemy się prawie pionowo w górę. Pojawia się pierwszy, świeży śnieg. Wzmaga to naszą czujność i ostrożność. Na przełęczy zostawiamy pod ścianą plecaki i już na luźno pokonujemy ostatni odcinek na szczyt. Po drodze podziwiamy rozległe przestrzenie oraz śmigłowiec, zapatrujący kolejno okoliczne schroniska.

Wreszcie szczyt. Składamy sobie gratulacje. Jest bezwietrznie, a po końcu horyzontu widać alpejskie szczyty. Dostrzegamy też taflę Adriatyku, choć to ponad 100 km od nas.

Radość jest wielka, ale cicha. Wynika z niej pokora małego człowieka wobec potęgi, piękna i doskonałości natury. Takie momenty cementują przyjaźnie. Pozwalają wierzyć w drugiego człowieka.

Szczyt Triglavu wieńczy metalowa, okrągła budka, coś na kształt beczki piwa przykrytej spiczastym dachem. Można wejść do środka i znaleźć tam ściany wyklejone panoramami górskimi wraz z informacją o widzianych szczytach.

Jeszcze jeden rzut okiem, jeszcze jedno zdjęcie w pamięci, a także w aparacie, zrobione przez obecnego na szczycie turystę. I czas w dół, z powrotem, ku przełęczy Luknija. Zejście okazuje się o wiele trudniejsze niż wejście. Liczne miejsca nie ubezpieczone na świeżym śniegu i śliskiej, wapiennej skale. Na dużej przestrzeni kołtła Zaplanija brak znaków. Przydaje się umiejętność analizowania mapy i orientacji w terenie. Dochodzimy do ściany Plemnica, prowadzącej ostro w dół w dolinę Vrata. Ściana ma wyraźnie charakter *ferraty* (górskiej ścieżki ubezpieczonej, jak nasza Orla Perć, ale o nieporównywalnie większej skali). Jest to najbardziej emocjonujący i eksponowany odcinek naszej wyprawy, dobrze zabezpieczony stalowymi linami i stopniami. Liczne są jednak miejsca – kominy, żeberka – gdzie należy liczyć jedynie na dobre chwytyskalne. Na przełęczy schodzimy tuż przed całkowitym zachodem słońca. Chce nam się strasznie pić, bo wiele godzin temu wypiliśmy resztki wody mineralnej. Na przełęczy biwakuje dwóch Czechów, nie prosimy ich



S. Piechota na drodze z Triglavu

jednak o wodę, bo przecież za chwilę zejdziemy w dolinę, gdzie na mapie zaznaczono całkiem spory strumień. Stromym piarżyskiem schodzimy, a raczej zjeżdżamy na tyłkach w dół, ostro wkraczamy na ledwo widoczną ścieżkę i po dłuższej chwili konstatujemy, że w ciemnościach pomyliliśmy kierunki. Zamiast do drogi przy strumieniu wkraczamy coraz głębiej w las. Szlak widać mało wyraźnie, potykamy się o nierówność terenu w świetle latarki idąc bardziej „na czuja”. Po drodze trafiamy na jedyne w okolicy źródło, gdzie długo zaspokajamy pragnienie. Wkrótce też dochodzimy do właściwej drogi przy strumieniu, który okazuje się w rzeczywistość wyschniętym do cna białym, skalnym kanionem. Dokładnie o 22.30 dochodzimy do schroniska „Aljažev Dom” w momencie, gdy gasną w nim światła. Skrajnie zmęczeni zapadamy w sen kinowy, gdzie film wyświetla się bez naszej wiedzy, a my sami jesteśmy i aktorami, i widzami. Przebyty trud i zmęczenie pozwalają wierzyć, że nie tylko wyobraźnia brała udział w tej eskapadzie.

Nasuwa się myśl, że dla wprawnoego turysty, dla którego Tatry nie są obce, Alpy Julijskie są dostępne pod każdym względem.

My idziemy dalej. W tym roku przed nami kolejna wyprawa – planujemy włączyć po Dolomitach.

Tekst i foto: Henryk Krupa i Stanisław Piechota



Kraj ten zajmuje rozległą nizinę w dorzeczu dolnego Mekongu oraz zlewni jeziora Tonle Sap, obramowaną podkową łańcuchów górskich. Są to na zachodzie Góry Kardamowe, sięgające ponad 1700 m, na północy – znacznie niższe góry Dangrek, na wschodzie – skraj wyżyn południowowietnamskich Kontum i Wyżyny Centralnej.

przy średniej krajowej 48 mieszk./km². Obszary preferencyjne, szczególnie w rejonach pasm górskich, są bardzo słabo zasiedlone.

W kraju przeważa ludność wiejska, która stanowi 88% ogółu mieszkańców. Poza stolicą są jedynie mniejsze ośrodki miejskie, jak np. Battambang, Kampong lub też port Kampong-Cham.

W składzie etnicznym dominuje

ciem. Ten drugi dzieli się tutaj na kilka odnóg i tworzy potężną deltę. W tym właśnie miejscu, zwanym przez Khmerów Chaktormukha, czyli „cztery rzeki”, znajduje się współczesna stolica kraju – Phnom Penh.

Z wydarzeniem tym łączy się stara legenda, opowiadająca o damie Penh, która wybudowała swój dom na kopcu osłoniętym przez stożkowaty pagórek.

KAMBODŻA CZEKA NA TURYSTÓW

Kambodża, znajdująca się w zasięgu zwrotnikowego klimatu monsunowego, odznacza się stosunkowo wyrównanymi warunkami termicznymi (od 25° zimą do 30° latem). Ze względu na przebieg zmian w cyrkulacji monsunowej oraz specyficzne położenie, okres najwyższych temperatur przypada tu nie w środku lata, lecz w maju, a pora najchłodniejsza – w grudniu. Natomiast latem notowana jest zasadnicza część opadu rocznego, wynoszącego tu 1000-2000 mm. W związku z tym na terenie Kambodży wyraźnie zaznacza się trwająca od grudnia do kwietnia pora sucha.

Tylko dzięki temu, że wielkie jezioro Tonle Sap pełni dla Mekongu rolę naturalnego zbiornika retencyjnego, przechwytyjącego część wezbrania letniego, obszar zalewany falą powodziową ogranicza się do niższych części dolin rzecznych. Rzeka łącząca jezioro Tonle Sap z Mekongiem dwa razy w roku zmienia kierunek: w lecie płynie do jeziora, w zimie – z jeziora do Mekongu.

Sam Mekong w granicach Kambodży jest wielką arterią wodną, której szerokość koryta sięga 3 km. Ze względu na brak w kraju rozwiniętej sieci kolejowej oraz niedostatek powiązań drogowych, Mekong wraz ze zlewnią Tonle Sap posiada również niezwykle ważne znaczenie jako szlak transportowy.

Obszar Kambodży jest zaludniony bardzo nierównomiernie. Około 5% powierzchni nizin oraz wszystkie tereny górskie porastają tropikalne lasy. Dlatego też 80% ludności państwa skupia się na Równinie Centralnej, w szczególności pomiędzy Tonle Sap a Mekongiem, oraz w dolinie Mekongu poniżej Phnom Penh. Tutaj gęstość zaludnienia przekracza 400 mieszk./km²

narodowość Khmerów (90%). Wśród innych grup mniejszościowych przeważają Chińczycy i Wietnamczycy.

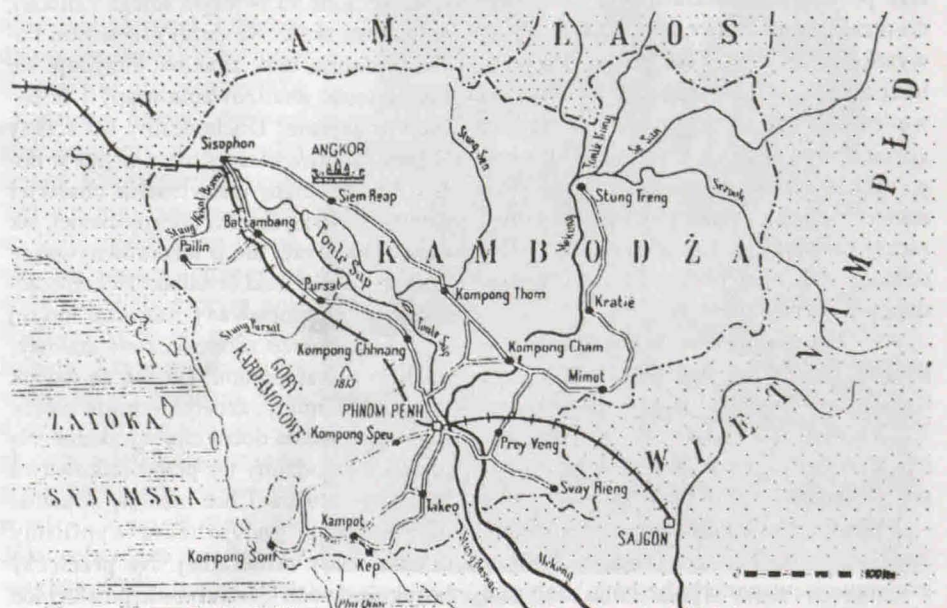
Pod względem ustrojowym Kambodża była republiką ludową o orientacji socjalistycznej (od 7.01. 1979 r. do maja 1993 r.). Po wyborach w maju 1993 r., pod opieką ONZ, Kambodża otrzymała oficjalną nazwę Królestwo Kambodży.

Sytuacja wewnętrzna daleka jest jednak od stabilizacji, ciągle trwa zbrojna działalność ugrupowań antyrządowych (m.in. Czerwonych Khmerów – Pol Pot).

Turystyka działa przez cały rok, ale najlepszy sezon trwa od października do kwietnia.

Kilka kart z historii. W pierwszej połowie XV w., gdy Tajowie złupili Angkor, królowie khmerscy przenieśli się tu z myślą o założeniu stolicy. W 1434 r. stolica Kambodży znalazła się w miejscu, gdzie rzeka Tonle Sap łączy się z Mekon-

Pewnej nocy w wodach rzeki, wezbranej od długotrwałych deszczów, ujrzała ogromne drzewo koki o konarach pokrytych listowiem. Ściągnęła je na brzeg, aby wykorzystać drewno, i wówczas w wydrążonym pniu znalazła cztery brązowe posążki Buddy i posąg Prah Noredy, „Wisznun unoszonego przez Jaka”. Zrozumiała natychmiast, że bogowie również postanowili opuścić święte miasto Angkor, a zatrzymując się u stóp jej domu, w tym miejscu zamysłili założyć przyszłą stolicę królestwa, gdzie wreszcie będą czczeni w spokoju. Jak opowiadają kroniki, dama Penh i wszyscy mieszkańcy okolicy ucieszyli się z tego niezmiernie; przenieśli z wielką pompą odnalezione święte posągi pani Penh i zbudowali dla nich tymczasowe pomieszczenie. Właścicielka domu zaapelowała wówczas do sąsiadów, by pomogli podwyższyć pagórek znajdujący się przed jej obejściem i





Pałac królewski w Phnom Penh

zamienić go w kurhan godny tradycyjnej świątyni-góry. Na jego szczycie zbudowała następnie sanktuarium z drzewa koki, w którym umieściła posągi Buddy, a posąg Wisznu ustawiła w kaplicy wybudowanej u stóp kurhanu, przy jego wschodnim zboczach. Od tego czasu miejsce to nazywało się Phnom Daun Penh (Góra Pani Penh), a później w skrócie – Phnom Penh.

A oto najważniejsze miejscowości turystyczne i ich walory. W Phnom Penh znajduje się dużo obiektów krajoznawczych, np. Wat Phnom. Jest to symbol stolicy, zbudowany w 1372 r. przez bogatą kobietę zwaną Penh. Turyści odwiedzający to miejsce zapoznają się z legendą świątyni.

Pałac królewski leży nad rzeką. Był on zbudowany w 1866 r., a później został zrekonstruowany w 1913 r. Pałac ten jest typowy dla architektury Khmerów Toul Sleng.

Muzeum było dawniej szkołą podstawową. W 1975 r. zostało zamienione na więzienie, w latach 1975-79 było to centralne więzienie reżimu Pol-Pota. Od 1979 r. Toul Sleng pełni funkcje muzeum.

National Museum (Muzeum Narodowe) znajduje się na północ od pałacu królewskiego. Jest to duży, czerwony i elegancki budynek, zbudowany w stylu khmerskim w 1918 r.

Markets Phasa Thmej stanowi największy centralny dom handlowy w Phnom Penh. Nosi on nazwę New Market (nowy dom handlowy) lub Central Market. Został zbudowany w 1937 r.

Mekong – matka wód (rzeka Mekongu) dostarcza także estetyczne przeżycia. Kiedy wschodzi słońce, zobaczyć można nad nim piękny widok. W dzień, w łodziach pracują rybacy. Jest też dużo statków. Stanowi to bardzo dużą atrakcję dla turystów.

W Phnom Penh jest 37 hoteli. Dzieli się one na trzy grupy w zależności od posiadanych miejsc.

Zabytki Angkor znajdują się w prowincji Siem Reap, 314 km na północ od Phnom Penh. Angkor został zbudowany w XII w. przez króla Sujarwarmana II ku czci hinduskiego boga Wisznu. Spełnia on podwójną rolę: sanktuarium i pomnika zawierającego prochy samego Sujarwarmana.

Angkor Wat jest jedynie jedną z setek budowli religijnych. Przez sześćset lat cały obszar ukryty był w tropikalnym lesie, choć jest to najwspanialsze osiągnięcie artystyczne świadczące o świetnym zrozumieniu bryły. Świątynię otacza fosa, a mur zewnętrzny otacza obszar około 84 tys. m². Technika budowlana i styl były dość prymitywne: kamień został użyty tak, jakby miał cechy drewna; łuki kopuły nie były znane. Mimo to ogólny efekt budzi podziw.

Obecnie świątynie Angkor są poznaczone dziurami po kulach z czasów, kiedy służyły za kryjówkę Czerwonych Khmerów. Jest to bardzo atrakcyjne miejsce dla turystów zwiedzających Kambodżę.

Sihanouk City znajduje się w południowo-zachodniej Kambodży. Od wschodu graniczy z prowincją Kompot, od północy – z prowincją Kaos Kong, od zachodu i południa – z Zatoką Tajlandzką.

Działalność turystyczna prowadzona jest tu przez cały rok, a cel turystów to morze i plaża. Region ten obecnie jest dwukrotnie częściej odwiedzany przez turystów niż dawniej.

Ogólnie więc biorąc, Kambodża może rozwijać się dzięki turystyce dlatego, że znajduje się tam wiele interesujących i zabytkowych miejsc chętnie odwiedzanych przez turystów z całego świata. Obecnie firmy zagraniczne inwestują w miejscową turystykę i gospodarkę.

Konieczne jest jednak stworzenie warunków bezpieczeństwa oraz odpowiednia promocja Kambodży jako doskonałego regionu turystycznego, bogatego w niepowtarzalne zabytki i wspaniałą przyrodę.

Burthach Dok



Muzeum Narodowe w Phnom Penh

MOUNT EVEREST – OSTATNIE MELDUNKI

Najwyższy szczyt świata jest od lat głównym celem wspinaczek w Himalajach, staje się też jednak głównym cmentarzyskiem. W roku zeszłym zginęło na jego stokach 12 osób, tej wiosny do połowy maja ofiar było już co najmniej 7 (nieoficjalnie mówiło się o 9). Było w tej liczbie dwóch Sierpów (Mingma Sherpa spadł 1200 m w Wielkim Kuluarze), trzech członków wyprawy kazachstańskiej, był Anglik zmarły w bazie i Niemiec Peter Kowalzik, którego 8 maja widziano idącego – bez tlenu! – do niedalekiego już wierzchołka. Jako pierwsi tej wiosny stanęli na szczycie alpinieści kazachscy. „Było to 2 maja – mówi Sergiej Owczarenko – a na szczycie ze zdumieniem zobaczyłem 2-metrowej długości flagę Kazachstanu. Jak się później okazało, wniósł ją tam nieco wcześniej nasz krajan Anatoli Bukriew”. Głębokie załamania pogody dwukrotnie spychały alpinistów do baz. Po 20 maja pogoda uległa poprawie i w piątek 23 maja na szczycie spodziewano się co najmniej 30 osób. Jako członek wyprawy nowozelandzkiej wszedł na szczyt wnuk słynnego Tenzinga, Australijczyk z wyboru, Tashi Tenzing, a Amerykanin Ed Viesturs stanął na czubku po raz piąty, wyrównując rekord zmarłego w zeszłym roku Roba Halla (chodzi o wejścia alpinistów, rekordy Sierpów sięgają 10). Fin Veikka Gustafsson osiągnął szczyt bez tlenu. Rzeczniczka wyprawy nowozelandzkiej, Suz Kelly, powiedziała, że była to bardzo długa wyprawa, ale opłacało się poczekać na poprawę warunków. Zabrakło jednak cierpliwości grupie polskiej, która wycofała się po pierwszych załamaniach pogody. W składzie tej grupy była Ania Czerwińska, która kolekcjonuje najwyższe szczyty 7 kontynentów: brakuje jej jeszcze dwóch – Everestu i Mount Vinson na Antraktydzie (ew. Mount Carstenz na Nowej Gwinei).

Andrzej Skłodowski

W PARU ZDANIACH

● Znane włoskie Vivalda Editori Torino włączyły film Jerzego Surdela „Odwrót” do swej prestiżowej kolekcji „Czołowe dzieła kina górskiego”. Dla nas film ten to także niezapomniane kreacje Samka Skierskiego i Jasia Kielkowskiego, no i kamera w mistrzowskich rękach Zbyszka Kaliniewicza.

● Z okazji piątej rocznicy tragicznej śmierci Wandy Rutkiewicz, na łamach „Rzeczypospolitej” (23 maja 1997 r.) ukazał się bardzo ładnie napisany artykuł wspomnieniowy Andrzeja Zawady, ukazujący sylwetkę naszej koleżanki od nieco innej, niż sportowa, strony. Obszerny życiorys Wandy zamieścił „Głos Seniora” w maju 1992 roku.

● Do Jana Kielkowskiego zwrócił się Kurt Diemberger z prośbą o pomoc: dowiedział się mianowicie, że w Polsce została wydana jedna z jego książek – bez jego zgody i wiedzy (!). Kurt chciałby uzyskać potwierdzenie tego faktu i ustalić „wydawcę”, w celu wystąpienia na drogę sądową. Sprawa bolesna dla całego alpinizmu polskiego, tym bardziej, że być może i inne publikacje owego wydawcy zostały wypuszczone na rynek w tym samym trybie.

● Tadeusz Giewont (82) otrzymał członkostwo honorowe Koła Przewodników Tatrzańskich im. Macieja Sieczki w Krakowie – w ślad za podobnymi godnościami przyznanymi mu wcześniej przez GOPR i przez Koło Przewodników Tatrzańskich w Zakopanem. Patent przewodnicki Tadek uzyskał przeszło 50 lat temu, w 1946 r.

● Jak nas informuje Ryszard W. Schramm, ostatnio poważną operację serca przeszła Maria Mitkiewiczowa z Zakopanego, taterniczka i himalaistka, m.in. lekarka pamiętnej wyprawy Wandy Rutkiewicz na Gasherbrumy w 1975 r.

● Andrzej Zimilski pisze duży esej o ostatnich 50 latach historii Zakopanego – jak sam je oglądał i prze-

żył: trochę wspomnieniowy, trochę socjologiczny – bardziej narciarski aniżeli taternicki, choć i na wyprawy wspinaczkowe nie zabraknie miejsca.

● Dwie znane alpinistki francuskie – obie Chamoniardki z wyboru – wpisały się do annałów polarnictwa. W styczniu 1997 r. Laurence de la Ferrière dotarła w samotnym marszu do Bieguna Południowego. 5 maja zaś – po 63 dniach wędrówki w bardzo ciężkich warunkach – na Biegunie Północnym stanęła dr Christine Janin. (Teddy Wowkonowicz)

● Gdzie dziewczęta z tamtych lat? Danuta Topaczewska-Baranowska, „Toczek”, intensywnie pracuje w swoim biurze projektowym i od przeszło roku jest szczęśliwą Babcią. Ten sam honor spotkał też ostatnio Danę Piotrowską, która przysłała nam zaproszenie na swoją wystawę fotografii „Namaste Nepal” (1-15 VI 1997 r.). Dziękujemy i gratulujemy!

● Tomasz Schramm wrócił niedawno z 2-miesięcznej wędrówki polarnej. Wraz z Wojciechem Moskałem i dwoma innymi towarzyszami zrobił „wrzeciono”, czyli podwójny trawers Spitsbergenu na linii Longyerbyen – Verlegenuhuken – Sornest – Longyearbyen. W sumie ok. 1100 km, 55 dni marszu, mróz, szczeliny, niedźwiedzie. „Cieszę się, że kontynuuję moją działalność” – mówi Ryszard W. Schramm.

● Z programu radiowego dowiedzieliśmy się, że w 1997 r. planowane jest wznowienie rozszerzonego wywiadu Barbary Rusowicz z Wandą Rutkiewicz, przeprowadzonego tuż przed jej tragiczną wyprawą pięć lat temu. Książka ma lansować dwie tezy – obie jednakowo niepoważne: a) że Wanda pojechała w Himalaje, by tam świadomie pozostać na zawsze i b) że żyje ona gdzieś w Azji, być może w zaciszu jakiegoś klasztoru. Druga z tych tez ma uzasadniać to, że ciało alpinistki nie zostało znalezione i to, że takie przekonanie żywi jej matka, matki zaś „znają swoje córki najlepiej”.

ZAPOMNIANE WIERSZE O GÓRACH

Kazimierz Brodziński

HYMN NA GÓRACH OLBRZYMICH

Czyliż na sam tron natury wzniosłem stopę moją?
Nad trzech mocarzów ziemi wywyższony stoję.
I wy, chmury, co krążąc otaczacie ziemię,
Deszcze lub gromy na ludzkie rozsiewając plemię,
I wy nawet pode mną! – Duchu śmiertelnika,
Jakaż cię razem trwoga i duma przenika!
Gdzież się wzniosłem – niestety! – nad ogniwo ludzi?
Ni tu ptak samotnego echa nie obudzi,
Ni wiatr wstrząśnie jagody, ni pochyli kwiatka;
Już tu dla ziemskich dzieci pierś zakryła matka.
Lecz myśl i tutaj nie zginie; owszem, z ziemskiej osi
Gardząc zmysłów potrzebą, pod nieba się wznosi.
Znikną ciała żywoły, zniknie życie ciała:
Ona nad krajem śmierci unosi się śmiała,
Wzleci za śladem słońca ku Twórcy wiecznemu
I w krainach wieczności przejdzie w cześć ku niemu.

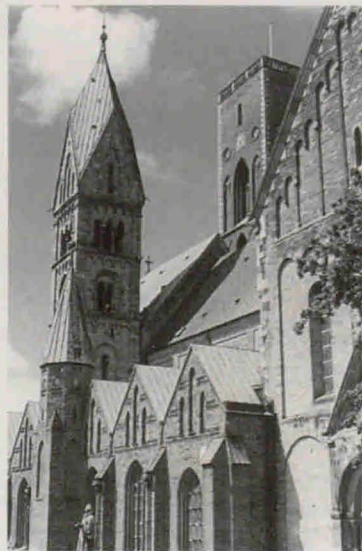
Świadki przedwiecznych czasów! wy, milczące góry,
Jakże dzielnie sławicie potęgę natury!
Czyli Neptun stąd kiedyś ustępował niebu,
Czy Pluto w gmach Jowisza chciał się wnieść z Erebu,
Czyli barki olbrzymie te niezmiernie skały
W gniewie jedną na drugą z piekiel wyrzucały,
Czy wy bogów siedliska, czy olbrzymów rodu,
W strasznych gruzach świadczycie spaniałość ich grodu.

Kazimierz Brodziński (1791-1835) przebywał w Cieplicach latem 1819 roku i odbył wówczas wycieczkę na szczyt karkonoskiej Śnieżki, której owocem stał się przytoczony tu wiersz, stworzony zresztą także pod wpływem *Hymnu napisanego wśród Alpów* Heleny Marii Williams (1762-1827), tłumaczonego z angielskiego na polski przez Brodzińskiego już w 1811 r. *Hymn na Górach Olbrzymich* (według Ryszarda Kincla napisany w 1819 r., według wydawców poezji Brodzińskiego ok. 1821) za życia poety nie był drukowany, ukazał się dopiero w zbiorowym wydaniu pism Brodzińskiego w 1959 r., później przedrukował go w swej świetnej książce *Sarmaci na Śnieżce* (1973) Ryszard Kincel, by doczekać się nadto jeszcze przedruku w antologii *Strofy o górach* (1981). Sam poeta myśli w nim zawarte w sporej mierze wykorzystał w napisanym w 1821 r. wierszu *Widzenie na Górach Karpackich*, ale przytoczony tu utwór ma mimo to charakter w pełni oryginalny i od tamtego jest niezależny. Jest on ciekawym wykładnikiem preromantycznego sposobu przeżywania bytności na wyniosłym szczycie górskim (o tym fenomenie kulturowym ciekawie pisała niedawno Ewa Słoka w rozprawie pomieszczonej w tomie pierwszym studiów *Góry, literatura, kultura*, Wrocław 1996). W końcowej części przynosi on także ubrane w zretoryzowany poetycki kształt uwagi „geologiczne” o dziejach powstawania gór. W historii polskiej poezji o górach należy ten wiersz na pewno do ważniejszych, natomiast w dziejach karkonoskiej tematyki w literaturze polskiej jest pierwszym większej miary osiągnięciem artystycznym i dlatego warto o nim i dziś pamiętać.

Do druku podał Jacek Kolbuszewski

Ribe i jej katedra

Stawiam dolary przeciwko orzechom, że nikt nie zgadnie, co to za miejscowość. A tymczasem to nieduże miasteczko, położone niegdyś u ujścia niewielkiej rzeczki Ribe w środkowej Jutlandii, to jedno z najstarszych osiedli miejskich w Danii! Zarazem też jedna z najbardziej znanych miejscowości dzięki malowniczoemu wyglądowi i wspaniałym zabytkom. Kroniki zapisały jej nazwę już w 948 r., a przez kilka następnych wieków Ribe było portem obsługującym statki z Morza Północnego. Tu znajdowała się jedna z pierwszych duńskich siedzib biskupich, tu też władcy duńscy mieli swój własny gród. Dziś z potężnego gotyckiego założenia pozostały tylko fundamenty na skraju miasta. A chętnie przebywała w nim Dagmara, czeska księżniczka i żona jednego z najwybitniejszych królów duńskich – Waldemara I Wielkiego. Ten żyjący na początku XII w. władca walczył uporczywie, choć ze zmiennym szczęściem, ze Słowianami pomorskimi, którzy ze skutkiem najeżdżali duńskie wyspy – mieli na nich nawet swoje osiedla. Nieprzemijającą zasługą króla stało się wszakże zjednoczenie Danii, co dało podstawy istnieniu państwa w dzisiejszym ogólnie kształcie. Waldemar I kochał niezwykle silnie swoją żonę, stąd też, gdy dowiedział się o jej chorobie w drugim końcu Danii, co koń wyskoczył popędził do Ribe. Niestety, nie zdążył. Ale lud owiał to piękną



legendą. Mianowicie król miał wskresić Dagmarę po tylko, by móc się z nią pożegnać na zawsze.

Kręte i wąskie uliczki, zabudowane niskimi ceglany, rzadziej szkieletowymi, domami przypominają jako żywo odległe czasy. Między nimi przycupnął trzynastowieczny klasztor poddominikański, nieduży ratusz gotycki i dość malowniczy dawny pałac biskupi zwany Domem Hansa Tusena. Stosunkowo niedługi okres zastoju gospodarczego w dziejach Ribe przyniosła Reformacja, jako że życie toczyło się tu pod nadzorem i pod dyktando biskupów. Ale szybko luteranizm dotarł do Danii i ogarnął szerokie rzesze społeczeństwa, łącznie z królem. Stanowczo opierali temu biskupi, więc zostali oni zebrani w jedno miejsce pod jakimś tam pretekstem i otrzymali ultimatum: albo zrzekną się majątków kościelnych na rzecz Korony i zwierzchności papieskiej, albo... posiedzą, by jeszcze się namyśleć. W ten sposób dokonano szybkiej sekularyzacji, co jednak na pewien czas zakłóciło życie gospodarcze Danii. Kościoły zostały oczyszczone z przedmiotów i wystrojów o typowo katolickiej wymowie, ale zachowano wiele starych elementów.

Tak też stało się ze wspaniałą katedrą w Ribe, należąca do jednych z najcenniejszych zabytków Danii. Jej zasadnicza część pochodzi z 1130 r. i jest zbudowana z ciosów tufowych, przywiozonych drogą morską aż z Ardenów. Otrzymała ona dwie, zupełnie różne wieże: jedną romańską, na wzór włoski, drugą – ceglana, już gotycką. Z tego też ostatniego okresu pochodzi ciąg ceglanych kaplic bocznych. Całość przedstawia niezwykle atrakcyjny, oryginalny dla nas, widok dzięki swoistej kompozycji kolorystycznej: jasnokremowy korpus i romańska wieża, jasnoczerwone kaplice i druga wieża, zielone, spatynowane dachy na tle krystalicznie błękitnego nieba, w dodatku ozdobione barankami. Wnętrze rozświetlone, jasne, co dodatkowo uwypukla smukłość pięknych romańskich kolumn dźwigających gwiaździste sklepienie. Interesujący ołtarz i ambona, licznie epitafia i doprawdy okazałe nagrobki i sarkofagi (tak jak w całej zresztą Danii) zadowolą każdego miłośnika sztuki.

A jak tu trafić? To jakieś 50 km od granicy z Niemcami, skąd przyjechać można z Kilonii czy Hamburga. Acha, Duńczycy kontrolują dokumenty na granicy – bo mają odrębną umowę ze wszystkimi krajami skandynawskimi.

Krzysztof R. Mazurski

